

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 18 SIERPNIĄ 1928 ROKU

NR 34

TREŚĆ NUMERU: Do walki z próżniactwem! — *Dr. Herminja Naglerowa*. Obozownictwo jako sport — *Z. Zaleska*. Niewolnice — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Wiersze drobniuchne“: „Wiatr“, „Koniczynka“, „Pod płotem“ — *Felicja Kruszevska*. Płotka — *Ewa Szelburg*. Zwyczajne dzieje (dok) — *Karol Poraj-Koźmiński*. Dusza kobiety — *Gina Lombroso*. Z książek — *Teodora Drzewiecka*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *J. K., H. S. i N. J.* Umiejętność życia — *W. N.* Wychowanie fizyczne i higiena — *J. Prażmowska*. Gołębie — *W. D.* Współczesne gotowanie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“: Płaszczyk i ensemble — *Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy“ — *M. Beniśławska*. Tablica kroju.

## DO WALKI Z PRÓŻNIACTWEM!

Coraz częściej mówi się i pisze o tem, że kobiety pracują dziś ponad miarę. Wysnuwa się z tego przeróżne wnioski — słuszne, niesłuszne, a czasem nawet absurdalne. Niewątpliwie jednak jest to zjawisko zastanawiające, które zapewne pociągnie za sobą zasadnicze zmiany w „porządku“ społecznym, gdyż kobieta nie będzie mogła podolać różnolitym zajęciom, związanym z pracą zarobkową i t. zw. pracą domową. Stoimy już dziś, w tej chwili, przed koniecznością reformy gospodarstwa domowego i tworzenia instytucyj, w których znalazłyby opiekę dzieci, pozbawione niemal przez cały dzień wychowawczego kierownictwa rodziców. Są to jednak sprawy, do których jeszcze niejednokrotnie będziemy powracać, jako do najaktualniejszych zagadnień doby obecnej. Dziś poruszyliśmy je niejako po drodze, prowadzącej do innego zjawiska, nienowego, wprawdzie, ale tembardziej właśnie — niepojętego.

Zwróciła na to moją uwagę jedna z kobiet pracujących, która broniła się przed nazwą „pracująca“, twierdząc, że kwestję gospodarstwa domowego i wychowania dzieci potrafiła doskonale pogodzić z pracą zawodową. Jak? — Zorganizowała dom i poświęca mu bardzo mało czasu.

Trudno było ukryć sceptyczny grymas, który dość jawnie zresztą wyrażał myśl: Takie to musi być gospodarstwo i takie wychowanie dzieci! — Nie, do prawdy, nie jest u niej gorzej, niż u kobiet, które nic nie robią i nie zajmują się wcale swoim domem.

I tu właśnie moje niepomierne zdziwienie: — Czyż są dziś kobiety, które nic nie robią, niczem się nie zajmują, choćby z amatorstwa?

Owszem, są! Jest ich może jeden, może dwa procent, ale, gdy już mamy doczynienia z odsetkami, jest ich w sumie dużo, aż nadto dużo w Polsce.

Cyfry nietyle przekonywują, co przerażają. Jest, bowiem, w cyfrach jakaś ważność i jakaś wewnętrzna siła, która może się objawić w faktach dodatnich, albo ujemnych. Statystyka kobiet, dosłownie i istotnie próżnujących, jest właśnie tą siłą ujemną, tym kamiennym ciężarem, który musi udźwignąć całe pracujące społeczeństwo. Musi? oczywiście, że musi, bo dziś kobietom nie nakłada się jeszcze bezwzględnego obowiązku pracy, nie wymaga się od nich nawet zajęcia się gospodarstwem domowym, czy czemkolwiek innem, zwłaszcza, gdy są bogate lub zamożne, albo, gdy mają dostatecznie uposażonych rodziców, czy mężów.

Dzień takich pań wypełnia się czemś, co, owszem, zabiera czas i nie jest bynajmniej ziewającą nudą. Są tam nawet wyznaczone godziny dla fryzjerów, masażystek, krawców i modniarek; jest także trochę pośpiechu, aby się nie spóźnić na rendez-vous w kawiarni, czy restauracji, na partję bridge'a, czy jakieś sportowe, dyletanckie igraszki. Jest więc dużo spraw, które upodabniają się do „zajęcia“ i wywołują gorączkowe, zdenerwowane biadanie: — „Na nic nie mam czasu!“ Lecz wszystko razem składa się na — próżnowanie.

Gdy się nad tem zastanawiamy, my, pracujące i my, zapracowane — nie możemy pojąć, że to nie jest bajka o jakiejś sultance z „Tysiąca i jednej nocy“. Bo ta próżnująca pani, gdy jest zamężna, nie traci nawet godziny dziennie na domowe gospodarstwo, nie



robi nawet robótek, nie zajmuje się dziećmi (jest przecież zawsze z dobrej i nieprzymuszonej woli bezdzietna), nie obchodzi jej literatura. ani sztuka (co najwyżej pochwali się, że była na wernisażu w „Zachęcie“, czy innym ‘Salonie sztuki, na premierze w teatrze, albo na szlagierze w kinie); nie obchodzi jej zresztą cały świat, gdy sprawia sobie nową suknię.

Doprawdy, muszę się mocno wysilać, aby sobie wyobrazić takie próżnujące bytowanie, oddane całkowicie tej mnogości małoważnych spraw, tej bezcelowości i bezpotrzebności, której nie można wciągnąć w żadną konkretną pozycję życiową! Nie wiem, poco takim paniom umiejętność śmiechu i płaczu, poco ręce, serce, mózg?! I powoli, powoli, gdy tak rozmyślam nad wartością istnienia tych kobiet, widzę — monstra. Tak, monstra, które należałoby odosobnić, wyeliminować ze społeczeństwa. Albo — bądźmy miłośnikami — któremi należałoby się zająć, jak choremi, upośledzonymi, pomieścić je w odpowiednich sanatoriach, gdzieby je odzwyczajono od próżnowania tak, jak biednych nieszczęśliwców odzwyczajają się od nalogu pijaństwa, morfiny, kokainy.

Usiłuję zrozumieć, że materialnie uposażona kobieta nie ma potrzeby pracować zawodowo lub zarobkowo. Zamożny, a nawet bogaty mężczyzna nie uznaje wprawdzie dla siebie takiego przywileju i zawsze ma jakieś ambicje, zawsze chce być czynnikiem działającym w społeczeństwie, pragnie być czemś. O ile tak nie jest, piętnuje się go, jako bezpotrzebne indywiduum, bierze pod kuratelę, pogardza się nim, lub go ośmiesza. Kobieta próżnująca nikt natomiast nie pogardza, nikt jej tego nie ma za złe, przeciwnie: imponuje nawet niektórym tym właśnie zapaszkim lenistwa, „haremowością“, ptasim mózgiem.

Zgódźmy się jednak na to, że niejedna bogata kobieta nie ma ochoty stawać do startu pracy zawodowej, skoro nie potrzebuje zdobywać pieniędzy, które są przecież jedną z najsilniejszych pobudek pracy. Lecz, prócz pracy zawodowej i zarobkowej, istnieje jeszcze przeogromne pole działania, które obejmujemy jednym, tak wiele zawierającym określeniem: działalność społeczna. W Polsce dzisiejszej jest tak olbrzymie zapotrzebowanie w dziedzinie pracy społecznej, że nikt, dosłownie nikt, nie powinien stać poza obrębem tej pracy. Są przecież dzieci bez opieki, jest najstraszliwsza niedola więziennictwa, jest groźną budzącą przestępczość małoletnich, jest prostytutka, pijaństwo, żebractwo, puszczony samopas, dzieciobójstwo, analfabetyzm, brud i t. d., i t. d.

Myślą o tem, gnębią się tem ludzie, zapracowani od rana do wieczora, sami z trudem zdobywający dla siebie i swoich rodzin jakie takie utrzymanie. Myślą o tem Państwo, niemogące związać końca z końcem, dławione szczupłością budżetu, ze smutnej konieczności głodzące swoich urzędników. Myślą samorządy, z trudem leczące zaniedbania z czasów niewoli. Ale jednak coś się robi, coś się poprawia, zmienia na lep-

sze; wspólnymi siłami buduje się szkoły, szpitale, osiedla sierocińce, łąta jakkolwiek te zbyt już widoczne łachmany polskiej nędzy. Na pociechę trzeba sobie powiedzieć, że nie ustaje u nas nawoływanie, że pomysły realizują się, acz powoli, że jest ciągła, ruchliwa praca nad poprawą zła. Jesteśmy bowiem zdrowem, pełnem energii społeczeństwem, w którym jest mniej egoizmu, niżby się napozór zdawało.

I głośno należy powiedzieć, że właśnie kobiety polskie działają tu świetnie, sprawnie, ofiarnie. Są wszędzie tam, gdzie trzeba bezinteresownej pracy, same łączą się w koła i związki z wyraźnym programem pracy społecznej. Widzimy je, właśnie te przepracowane, te najbardziej obywatelsko uświadomione, jak walczą o światło dla nas nędzy, o oświatę dla ciemnych mas, jak każda praca jest dla nich świętym obowiązkiem. Ale tak właśnie trzeba, tak trzeba uświęcić swoje ludzkie obywatelstwo, aby dzień jutrzejszy był lepszy od dzisiejszego.

Lecz jakże nam jeszcze wobec całego ogromu prac, udźwignąć kamienny ciężar czyjegoś próżniactwa? Nie stać nas naten zbytek! I tak — przybywa nam jeszcze jedno zagadnienie i jeszcze jedna społeczna działalność. Trzeba bowiem podjąć walkę z tem, co nie jest wprawdzie nędzą, ale nędznością, co nie jest niemoralnością, lecz stokroć od niej gorszą amoralnością; co nie jest ciemnotą, ale oświeconą bezmyślnością. Trzeba wytępić luksusowe próżnowanie tysięcy kobiet, tak samo, jak tępiły pijaństwo i prostytutkę, bo, doprawdy, nie wiem, co jest większą plagą i co większym wstydem dla społeczeństwa!

Należałoby zresztą ustanowić coś w rodzaju przymusu i obowiązku społecznej pracy, tak, jak jest przymus szkolny i obowiązek służby wojskowej. Związki kobiece powinny więc rozwinąć jaknajszerszą akcję, jaknajenergiczniejszą propagandę, aby wciągnąć do pracy społecznej właśnie próżnujące kobiety. One to, bowiem muszą złuzować swoje przepracowane siostry! Powinno się stosować pewną ekonomję sił przez podział i sprawiedliwą organizację tej pracy. Dlatego też trzeba wyłowić próżniaczki i wziąć je pod kuratelę społeczną, a gdyby się opierały, stawić je pod pręgierz publiczny!

Ach, nie! — nie są to średniowieczne metody, pozbawiające wolności osobistej i sięgające nakazem w czyjeś prywatne życie! To jest właśnie dzisiejsza, współczesna, powszechna służba społeczna, która obowiązuje wszystkich porównano. Motor dzisiejszego życia nie może mieć katastrofą grozących defektów, a takim defektem jest właśnie beznadziejne, leniwe próżnowanie!

Oczywiście, wiem, że moje słowa nie dotrą do tych pań, które przecież nie czytają... ale chciałabym, żeby nad tą sprawą, która jest niewątpliwie sprawą kobiecą i sprawą społeczną, zastanowiły się nasze związki kobiece. Trzeba nam dużo rąk do pracy, już omdlewają ręce przepracowanych — więc zająć czemś ręce, wypoczęte w próżnowaniu! Dr. Hermina Naglerowa.



Z. ZALESKA

## OBOZOWNICTWO JAKO SPORT

Słynny twórca skautingu, gen. Baden-Powell, nazywał obozownictwo sportem. Rozwinięty tak wspinał się w swej ojczyźnie, skauting angielski utarował drogę dorosłym do tej „gry, która daje radość życia w zetknięciu z przyrodą“, pozwala zapomnieć o dusznych murach miejskich, o pracy biurowej i zgryzotach dnia powszedniego. U nas, gdzie na terenie wielkiej Warszawy banda łotrzyków napada na gromadkę obozujących harcerzy (Rembertów w czerwcu), nie tak prędko jeszcze obozownictwo stanie się sportem powszechnym. Bądź co bądź, jednak, rok bieżący wykazuje, że wstępujemy i my na tę drogę coraz liczniej i coraz śmieiej.

Oczywiście, i u nas drogę toruje harcerstwo, które w okresie letnich wakacyj rozkłada po całym kraju obozy w imponującej liczbie. Od Helu, przez całe wybrzeże, rojno od brązowych, szerokoskrzydłych kapeluszy. W jednym tylko Redłowie pod Gdynią stanęło przez lipiec 5 obozów. A harcerskie „zasięgi“ opierają się aż o Tatry i Beskidy, o Polesie i Wołyń. W drugiej linii idą obozy organizacji, prowadzących wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe, jak z kobiecych—Zw. Strzelecki i Sokolstwo żeńskie. Ale w r. bież. pojawiła się już trzecia linja; rzadka to jeszcze tyraljera, ale już istnieje: inicjatywa prywatna. To tu, to tam, spotykało się grupki ludzi, którzy na wakacje nie wybrali się do drogich i przepelnionych pensjonatów, by „sterceć w miejscu, jak grzyby w lesie“, tylko „zmówili się“ i „machnęli sobie“, albo na piechotę, albo autem, albo łodzią, wspólnie kupioną (zagłówka z motorkiem — 3.600 zł.). I wracają



Posiłki w obozie

z tych wycieczek opaleni, weseli, pełni sił i tego błękitu w oczach, który daje radość swobody ruchów. Jeździli Dniestrem, łapali pstrągi w Dunajcu, byli w Ojcowie, rozpalali ogniska nad Czeremoszem; syją fotografie, radośni, roześmiani, przypominający co chwila różne przygody. A koszty? Poza łodzią wydali minimalne sumy. A poznali kawał kraju, pozbyli się nieśmiałości nowicjuszków i już na przyszły rok namówią innych na taki sam eksperyment.

Początek zrobiony. Zaczyna rozwijać się prąd, który z obozownictwa uczyni i u nas sport taki, jak w Anglii. A sport ten może mieć poważne znaczenie społeczne, bo poznanie kraju i ludu wzbudzi zrozumienie jego potrzeb, rozwinięty zmysł społeczny, wolę czynnej pracy cywilizacyjnej. Jednocześnie nasz lud z różnych dzielnic natchnie chęcią wyjrzenia poza najbliższe okolice.

Trzeba słuchać, z jaką żałością niektórzy kaszubi mówią o chęci zobaczenia Warszawy, Krakowa, Częstochowy! I z jakim aż nabożnym skupieniem patrzy wieśniak, czy drobnomieszczanin z pod Wilna czy Grodna, na polskie morze, na „własny port“, i te okręty, i tę całą „rozkopaną“, bo w imponującym tempie rozbudowującą się Gdynię. „Letnik z pensjonatu“ czy uzdrowiska nie ma bezpośredniego zetknięcia z ludem; ale taki obywatel, który dziś nocuje tu, a jutro gdzieindziej, wędruje z okolicy do okolicy, jada w chacie wieśniaczej,—z konieczności staje się „zwiastunem rzeczy nowych“, musi mówić o Polsce.

Dlatego warto się i nad tem zastanowić, co ma mówić.

Wycieczki wakacyjne w kilka osób z natury rzeczy będą pociągały jednostki energiczne, odważne, silne, zdecydowane na nieoczekiwane przygody. Zupełnie jednak bezpiecznym przepędzeniem wakacyj,



Grupa zawodniczek



w warunkach stokroć zdrowszych, niż je daje to, czy inne „letnisko“, są obozy wspomnianych organizacji. Prawda, że obowiązuje na nich ścisły regulamin, karność, wykonywanie obowiązujących ćwiczeń; ale ten właśnie systematyczny tryb życia, dostosowany według wskazówek obozowego lekarza do organizmu każdej uczestniczki, sama higiena takiego życia—wpływa znakomicie. Do zdobycia „dobrego samopoczucia“ przyczynia się i „atmosfera“ obozu, nastrój koleżeństwa, wesołość, pieśni przy ognisku i cała ta tężyzna fizyczna, jaka promieniuje z instruktorek. Działa to wprost podświadomie; już po paru dniach jednostki „osowiałe“, milczące, zaczynają ruszać się zważając patrzeć jaśniej, nabierają innej postawy, innych ruchów.

Ogromnie dużo zależy tu od kierownictwa. „Komenda obozu“ musi całą swą pracę „opromienić sercem“; umieć utrzymać karność, a jednocześnie wytworzyć stosunek przyjacielski—kwestja to już osobistego taktu.

Wychowanie fizyczne, przez samą gimnastykę, lekką atletykę i gry ruchowe, bez obozownictwa—nie jest pełne.

Znoszenie pewnych niewygód, praca przy zakładaniu obozu, życie w warunkach, dających możliwość inicjatywy dla udogodnień i upiększeń obozu

(stoły, bramy, kapliczki, schody, mostki, pływalnie i t. d.)—rozwija energię i przedsiębiorczość. Przysposobienie wojskowe—acz brzmi groźnie—na obozie obejmuje musztrę, terenoznawstwo, naukę obchodzenia się z bronią palną, kurs obrony przeciwgazowej, służbę łączności. Są to zatem sprawy, które bynajmniej nie ujmują z „wdzięku kobiecego“. Musztra zaś—ten „wdzięk“ uczy chodzić nie samopas, jak to obserwuje się na pochodach, w których biorą udział kobiety (każda „sobie idzie“).

Obozownictwo—poza harcerstwem—rozwija się u nas powoli, ma jednak wszelkie dane potemu, by wyrosnąć na sport, obejmujący bardzo szerokie sfery. Sokolstwo żeńskie prowadzi obozy drugi rok, Zw. Strzelecki—przez parę lat. Doświadczenie zatem dopiero wskaże najlepsze metody i przerobi programy, z których nie wszystko pozwala wcisnąć się w ograniczony czas 4—6 tygodni.

Jesień, zima, wiosna—to okres przygotowywania „materiału“ na obóz, ćwiczenia w salach i na boiskach, praca organizacyjna i kursy „przysposobienia obywatelskiego.“ Kto chce jechać na obóz (zakwalifikowane uczestniczki otrzymują przejazd bezpłatny i wnoszą minimalną opłatę 30 zł.), ten już teraz musi wstąpić do organizacji i przejść przygotowanie.



M. H. SZPYRKÓWNA

## NIEWOLNICE

Przedziwne sprawy umięją się dziać jeszcze dziś, w naszym, o dwadzieścia wieków od czasów rzymskiego niewolnictwa oddalonym, czasie. I także są zjawiskiem codziennym i nagminnym, i nikt się niem zbytnio nie oburza, jakkolwiek wielu wrażliwszych krzywi się z niesmakiem. Ale tak samo ongiś wykwintniejsi patrycjusze krzywili się na chłostę, czy karmienie ryb mięsem niewolników. Jednak działo się, zanim

Zanim, co? Czy zmiany cywilizacyjne przychodzą poprostu w pewnym, właściwym czasie, niezależnie od wysiłków jednostek, wyprzedzających swoją epokę? Czy, przeciwnie,—właśnie dzięki nim, jarzmo niewoli i hańby powoli obluźnia się i opada? Myślę, że tak! Że poszczególne głosy jednostek, które, z tych czy innych powodów niedopuszczalność rzeczy dopuszczalnych przeniknęły i wnoszą przeciwko nim

swój pojedynczy, zgubiony może narazie, protest: że one właśnie są kroplami, drażącymi kamień złego. Jak długo trzeba kuć w jedno miejsce?—Wieki! Jak długo trzeba wołać wśród ogólnego aplauzu:—„Veto“.. Lata! A jednak nie można nie kuć, a jednak wołać trzeba—i niechbym na ten raz miała być tylko głosem na puszczy: wiem, że wcześniej czy później, jakieś echo oddźwięknie, jakiś bunt się obudzi, jakiś pokorny niewolnik zatarga łańcuchem, gdyby nawet pod tym wysiłkiem padł!

Wysyłamy z Polski co roku kilkadziesiąt kobiet do Niemiec. Są to robotnice sezonowe. Wyjeżdżają, jako młode dziewczęta, u nas na wsi wciąż jeszcze uczciwie, religijnie i etycznie chowane, dzięki tradycji i kościołowi. Wracają, jako...

Pomińmy twarde słowo! Zajrzyjmy zato, jak się to mieszka naszym polkom na tej niemieckiej, lichy



płatnej, a ciężko pompującej siły, zwłaszcza kobiece, wilegaturze?

Czasy się zmieniają, a z niemi zmienia się i forma niewolnictwa i przemoży, rzecz prosta. Ongiś na jeżdżały wie nasze, groźne i drapieżne oddziały Braci Krzyżowych, ogniem i mieczem... zniekształcających zapowiedź krzyża. Porywali na siodło branki polskie, i odtąd, zgubione dla rodzin i ojczyzny, dziewczęta polskie służyły zaborcom krótką urodą i długoletnim, ciężkim, niewolniczym trudem. I umierały, jako niewolnice, nienawidząc nieraz własne dzieci, nie tylko dlatego, że były dziećmi hańby, ale jeszcze i dlatego, że były krwią z krwi i kością z kości najzaciętszego wroga Polski — Niemiec.

Wieki zrobiły swoje. Dziś jeden tylko istnieje groźny zaborca, o zasłoniętej przyłbicy: kapitał. I nie wojuje już mieczem: broń ma bardziej współczesną. Z niewidzialnej odległości zarzuca niewidzialny arkan i wlecze branki na lep pieniądza w samo piekło poniewierki, pogardy i krzywdy.

Jak dalece oburzającymi są warunki, dawane przez Niemcy polskim emigrantom sezonowym, można już chyba najbezstronniej wywnioskować z głosów—co uczciwszej prasy niemieckiej. „Warunki wołające o pomstę do nieba”—oto tytuł jednego z artykułów niemieckich, poświęconych bolączce sezonowej. A wiemy;—i trudno się temu dziwić— że każdy kraj ma przedewszystkiem instynkt samoobrony, zarówno moralnej, jak zewnętrznej — i niechętnie sam przeciwko sobie wytacza ciężkie armaty oskarżeń.

„Zobaczyłem długą szopę, rodzaj dawnej obory, czy chlewu, najwidoczniej naprędce przerobioną na pomieszczenie mieszkalne. Okna były jako tako wrobione w źle dopasowane futryny; panował półmrok. Gdzieindziej okna wogóle nie były oszklone i wiatr hulał swobodnie, o ile nie zatkało ich doraźnie. Szeregi prycz, zajmujące całe ogromne pomieszczenie, sprawiały wrażenie przygnębiające, jak w więzieniu. Nie było nic: — ani przegrody, ani przepierzenia, nic, coby dawało pewne, bodaj najlichsze poczucie odosobnienia. I w tej oto zwartej masie ludzkiej, na tych pryczach, dotykających niemal jedna drugiej, sypiali razem: dziewczęta i mężczyźni. Minimalne poczucie przyzwoitości, ba! nie mówiąc już o etyce, czy estetyce, buntowało się na widok do pół ciała myjących się kobiet, koło których przechodzili robotnicy z zaczepkami i dowcipami. Zdawało się to ich wcale nie krępować. Sezonowe zarobkowanie wyciera kobietę z wszelkiej skromności, a nawet przyzwoitości, jak hotelową słomiankę, po której przejdzie za wiele nóg. To, czego się zdołałem dowiedzieć ubocznie, w miarę rozmów, było stokroć gorsze: — tam, gdzie nawet pod presją władz polskich właściciele dawali przegrody, specjalnie dla małżeństw — małżeństwa przyjmowały do siebie „na kwaterę” pryczę sublokatorską—czasem dwie—i dziewczyna, tam mieszkająca, po najkrótszym

czasie stowarzyszyła się bądź z lokatorem-kawalerem, bądź—z mężem sąsiadki. Dramatów krwawych, strasznych, rozpaczliwych niekulturalnością formy dramatów—jest w szarych nizinach naszych robotnic sezonowych więcej, niż jakiegokolwiek, najsumienniejsze nawet raporty wypatrzyć mogą. Zarobkowanie sezonowe dla naszych dziewcząt i kobiet — to katorgia demoralizacji i deprawacji za marny grosz, który i tak przeważnie zostawiają one na miejscu, w Niemczech, za fatalaszki. A do Polski przywożą — zrujnowane zdrowie, wyuzdanie i tę szczególną, ironiczną pogardę dla wszelkich zasad etycznych, czy społecznych, która robi z nich podkład do najgorszych instynktów, a zupełnie wypacza je, jako materiał na matki i żony. Wieś polska, nawiedzona plagą robocizny sezonowej, jest wsią podległą powolnemu rozkładowi, z którym całym wysiłkiem walczy oświata i religja — a jednak zwalczyć jej nie są wstanie. Dopóki nasza emigracja sezonowa będzie się składała głównie z kobiet — najgorzej płatnych, najwięcej wyzyskiwanych i najbardziej demoralizowanych w samej podstawie kobiecości, — dopóty zyski, płynące z niej dla kraju, będą tylko przykrywką nieobliczalnych strat. Posyłamy nasze kobiety na niewolnice, przywożące nam z Niemiec tylko najgorsze cechy — a nieraz i żywy dorobek — prawdziwych obieżysasów Polski“.

Tyle—relacje prywatne. Urzędowe raporty władz emigracyjnych także nie są zbyt optymistyczne, jakkolwiek ostatnio, z zawarciem konwencji emigracyjnej, placówki nasze mają już większy wgląd w te rzeczy. Jednak zawsze za mały, bodaj z powodu braku funduszy i sił objazdowych, no i—wplywów faktycznych. Polska jest wciąż jeszcze w Europie murzynem narodów! Polskie kobiety wciąż jeszcze są niewolnicami!

A przecież pracują wcale nie gorzej, niż inne, owszem: lepiej! Są cenione i poszukiwane, bo — można je łatwiej wyzyskać z powodu analfabetyzmu, prędzej zastraszyć kontraktami i sądami, mniej zapłacić, a wymagać — więcej. I dokądże, pytam, będziemy się na to godzili?! Jak policja kobieca, wprowadzona w Warszawie dla walki z nierządem, zdołała w krótkim czasie ujawnić i uzdrowić niejedno zło, dawniej niewidoczne, umniejszyć niejedną krzywdę, dawniej bezgłosną: tak i tu, w emigracji sezonowej, kobiety powinny domagać się stanowisk naczelnych u odnośnych instytucji i władz: tylko kobieta może zło sezonowe zlokalizować i umniejszyć! I same władze z pewnością doznałyby wielkiej pomocy i odciążenia, gdyby fachowo wyszkolone, społecznie wyrobione kobiety mogły czuwać z ramienia rządu i placówek nad odpowiednimi warunkami zarobkowymi. Prosimy o większe miejsce dla nas w sprawach krzywdy i niedoli kobiecej — my, które nietylko piszemy akta piórem, ale jeszcze i sercem odczuwamy tragedję zawartych w nich raportów!



FELICJA KRUSZEWSKA

WIERSZE DROBNIUCHNE

W I A T R

Wiatr wywinął się z pierzastych chmur i nagi  
położył się w szumiącym zbożu.

Gwiżdże zcicha i na drzewko kiwa,  
małe drzewko w polu na rozdrożu.

Drzewko zachwiało się, pochyliło głowę  
o zielonych, pachnących kędziorach.

Wiatr pod głową ma kobierczyk z chabrów  
o przedziwnych splątaniach i wzorach.

Kłosa patrzą poprzez rzęsy płowe,  
bo wiatr jest śniady od słońca.

Małe drzewko spojrzeć nie ma odwagi  
i przechyla się i odchyła bez końca.

KONICZYŃKA

Roślinka  
koniczynka,  
jak małeńka dziewczynka,  
ma różowe kędziorki, do góry sterczące,  
wycinane kryzeczki i zielone wstążeczki,  
wszystko trzepoczące, fruwające.  
Różowiatka,  
cichutka  
i, jak trawa, skromniutka  
wędrowała przewiewnym ogrodem,  
Gdy szła na jednej nodze,  
spotkała mnie po drodze:  
nabrała w buzię słońca i dmuchnęła miodem  
i podała mi cztery listeczki.

POD PŁOTEM

Pod płotem gałązeczka świerkowa  
to wybiegnie nagle na słońce, to znowu w cieniu się chowa.  
Wiatr dmucha przez gęste igły z huczącym, przeciągłym hałasem.  
Mała gałązka świerkowa pachnie żywicą i lasem.  
Mała gałązka świerkowa chyba przez pustą swawolę  
zmiotła krążeczek słońca, który mi leżał na czole.  
Włosów, i powiek, i twarzy dotknęła palcami szorstkimi.  
Nie patrzę przez płot. Pochylam się. Jestem tuż przy ziemi.  
Niziutko—ja, plamka słońca i spokój. A cały świat jest za płotem.  
Wącham gałązkę świerkową i zapominam o tem.





EWA SZELBURG

## P Ł O T K A

Krysia stała w otwartym oknie.

— Może się to jednak nie stanie... A przynajmniej nie dziś, jeszcze nie dziś!..

Ranek był taki spokojny. Pogoda, utkana ze srebra i błękitu, stała na niebie. Pogoda, spleciona z zieleni i złota, leżała na ogrodzie. Ptaki przecwierkiwały się odniechcenia. Powiew ledwo dotykał najcieńszych gałązek i najwiótszych traw.

— Będzie upał—stwierdziła Krysia i długo szukała zarzuconej na dnie walizy sukienki bez rękawów.

W jadalni, z nad upitego kubka kawy, powitała ją matka, ubrana już i uczesana o tej niezwyklej dla siebie porze:

— Moja Krzysiu, tylko mi dzisiaj nie przepadnij gdzie na cały dzień, jak to ty potrafisz...

Krysia drgnęła i spłoszonymi oczami spojrzała w szklane drzwi werandy.

Drzwi były otwarte.

Zobaczyła przez nie bez trudu daleki pas żółtej, krętej szosy. Szosa była pusta i cicha... Jak dzisiejszy ranek. Krysia uspokoiła się zupełnie.

Tymczasem upał wzmagał się szybko.

Na malowanych ławkach przed szerniałym domem bezceremonjalnie rozsiało się słońce. Słońce też objęło w posiadanie wszystkie uliczki.

Nie było gdzie się podziać w tym ogródku.

Dziewczyna pokręciła się trochę po mieszkaniu. Niecierpliwiły ją „letniskowe“, spłowiałe kapy na łóżkach, jeżących się siennikami, nastroszonymi zakurzonymi słomą; drażniły ją perkalikowe, na „ludowo“ barwione firaneczki, i białe, krochmalne „zasłonki“; denerwował bezmyślny brzęk i bzyk much, trykających dużymi, twardymi łbami w jeden i ten sam róg górnej szyby, w uchylonem do połowy oknie.

Zakręciła się więc tylko tu i tam, porwała stary pled i jakąś na kawałki już rozczytaną książkę w jaszkrawej okładce, i wybiegła w łąki nad sadzawkę.

Tu było cienisto i przewiewnie.

Chwiały się nie tylko drobne falki na wodzie i puste, wydmuchane trzciny, ale i soczyste, zawiesiste gałęzie wierzb kołysały się na chłodnym przeciągu.

Dziewczyna szła brzegiem sadzawki, z trudem odnajdując w suchych pokrzywach, w szczawiu i słazach ukryty ślad ścieżki. Wielkie, białe i płaskie kręgi dzikiego bzu rzucały na chwasty kremową opyl, przenikliwy, ostry zapach i cień niski, przyziemny.

Gdy tak szukała wygodnego miejsca, spostrzegła w cieniu olchy zaczajoną postać.

Chcąc szybko wyminąć olchę, przyspieszyła kroku. Zaczajona za pniem olchy postać poruszyła się nagle i wyprostowała: z palcem na ustach zastąpił dziewczynie drogę starzec wysoki, brodaty i silny. Za jego plecami, w trawie, leżało mocne i długie rude wędzisko; opodał czerwony, jak krew, spławik tańczył leciutko na gładkiej wodzie.

Krysia skinęła głową nieznanemu rybakowi. Staremu wyplątał się z brody uśmiech krótki i zimny, jak błysk na wodzie, ale oczy z pod krzaczastych brwi patrzyły życzliwie na dziewczynę.

Czerwony spławik drgnął gwałtownie i zanurzył się w fali. Natychmiast jednak wypłynął i znowu tańczył leciutko na miejscu.

Rybak wskazał dziewczynie miejsce obok siebie i rzekł głosem starym, pozbawionym dźwiękn:

— Tak się ta łowi wszystko... tak się ta łowi...

Krysia usiadła.

Wyglądziwszy sukienkę na kolanach, spuściła nogi nad samą wodę. Leciuteńko trącała obcasikiem ustępliwą powierzchnię i zapatrzyła się na czerwony spławik.

Rybak, siedzący pobok, zgarbił się i zmałał. Nie było go prawie wcale widać z za odziomków olchy. Milczeli.

W szuwarek plusnęło coś raz i drugi.

Rybak sięgnął poza siebie i dobył drugą wędkę.

— Cóż, można spróbować... było nie było... spróbować można—mruknął i podał wędzisko dziewczynie.

Krysia wzięła chętnie. Nie wiedziała tylko, co teraz zrobić z tym fantem?

— A na co będziemy łowić?—spytała.

Stary wzruszył ramionami (Oczy jego wciąż były dobrotliwe, ale ten sam krótki, zimny uśmiech, jak błysk na wodzie, przeleciał mu po zmarszczonej twarzy).

— Na cokolwiek—powiedział—na chleb...

Krysia drgnęła gwałtownie.

— ... na muchę—dokończył stary.

Podał dziewczynie haczyk z założoną już przynętą. Wzięła machinalnie i zarzuciła w wodę.

— A teraz czekać — mruczał stary. — Nic, jeno czekać. Czekaniem wszystko zrobisz. Bo bywa tak, że albo zawczasie, albo zapóźno.. A tu trza ciągnąć w samą porę...

Mały, błękitny spławik drgnął gwałtownie.

Instynktownym ruchem poderwana wędka opisała łuk w cichem powietrzu i z zamachem klasnęła o ziemię płaską, srebrną płotką.



— Jest!—krzyknęła Krysia ze złowróbną, przeciwną sercu radością.

Rybak wprawniemi palcami zdjął z haczyka sprężyste, lśniące ciało i kiwnął z uznaniem rozłożystą brodą:

— Piękna płotka.

Krysia patrzyła chciwie na cudną, pełną życia linję zamierającego już ciała, na rumiane skrzela, na niepokalaną biel obcistej łuski i... oczy jej stawały się coraz ciemniejsze.

— ...na cokolwiek się złowi... na chleb, naprzykład...— powtórzyła dawno przebrzmiałe słowa starego—albo i na nic... ot! na muchę...

Wstrząsnęła się i odwróciła.

Rybak tymczasem szybko zmienił haczyk na podwójny.

— Cóż to znów będzie?— niechętnie, wbrew sobie samej, zapytała Krysia.

Zmarszczki na twarzy rybaka zadrgały zimnem, migotliwym światłem i... rozplynęły się w dobrotliwym uśmiechu.

— Tak się ta łowi wszystko... tak się ta łowi— rzekł bezdźwięcznym głosem.

Nagle spojrzął bystro na dziewczynę:

— Będziemy łowić zębatego szczupaka na srebrzystą płoteczkę... He he he! złowimy szczupaka! ...Ale dziewczyna już była za olchą... za wierzbami... za sadzawką...

Gonił ją śmiech bezdźwięczny... i plusk... i trzepot! Zatrzymała się wreszcie przy furtce do ogrodu. Obejrzała się za siebie, na sadzawkę.

Wysoko, wysoko, nad wierzchołkami czarnych olch bielała ogromna, siwa broda Rybaka i migotał ostry, podwójny haczyk wędki.

Krysia uczuła nagle, że serce w niej rzuciło się gwałtownie i z pluskiem opadło znów na falę krwi. Z wysiłkiem podniosła ręce i wilgotnymi dłońmi przesunęła po oczach.

— Ach, tak! Oczywiście!.. to tylko obłok południowy przybrał ten kształt dziwaczny... to tylko zwykły obłok.

Jakżeby można z tak daleka dojrzeć małego, skurczonego starca nad sadzawką i jego śmieszna wędkę z leszczynowego kija?

Przyglądziwszy wzburzone włosy, Krysia powoli zamyka za sobą furtkę. Powoli też przechodzi przez plac, z którego słońce odpełzło już na żółkły trawnik

Weszła do mieszkania.

Matka przy stole przesypuje świeżo zebrane truskawki pudrem z szarej, papierowej torby.

A wtem łyżeczka z brzękiem upadła na podłogę!..

— Moja Krysiu! moja Krysiu! czy to aby nie?.. Tak.

Szklane drzwi werandy były otwarte,

Krysia przez nie zobaczyła bez trudu daleki pas krętej, żółtej szosy. Szosa, w bryzgach kurzu, w war-kocie motoru, sunął gość.

— Truskawki trzeba wynieść... świeżą serwetę położyć... Choć lepiej może już od razu obrus...—za-troszczyła się matka.— No, idźże się przebrać! Czego jeszcze stoisz?—zniecierpliwiała się.

A że dziewczyna wciąż stała bez ruchu przy stole, więc ją popchnęła zlekka do sypialnego pokoju i drzwi za nią zamknęła.

Wielki, lśniący, stalowo - popielaty samochód warczał już przy bramie.

Starsza pani wybiegła skwapliwie na stopnie werandy. Auto, jeszcze bardziej okazałe i olśniewające, a teraz już i potwornie olbrzymie między karłowatemi drzewkami, sunęło, chrzęszcząc, po żwirowanej alejce, dokoła wystraszonych na klombach nasturcyj.

Starsza pani, patrząc i czekając, także zdawała się rosnąć i nabierać blasku.

Z okna sypialnego pokoju wyjrzała Krysia, już przebrana. Zrazu patrzyła tylko na eleganckie pudło samochodu, potem na liczne skórzane nesesery... potem na pysznie skrojony angielski garnitur przyjezdnego pana.

W miarę patrzenia, jej zastygła twarzyczka nabierała żywej barwy, delikatne, przezroczyste prawie konchy uszne zaszły rubinem ciepłej krwi, a piersi uniosły się w szybkim rytmie pełnego, szerokiego oddechu...

W samą porę odezwał się z werandy głos matki

— Córuchno! a chodźże tutaj! przyjechał pan Fabrycy!

Kiedy Krysia stanęła na progu przed tęgim, szpakowatym panem Fabrycym, na jej twarzyczce igrał zimny uśmieszek, migotliwy i drżący.

Pan Fabrycy podał naprzód swój gruby, muskularny kark i zapatrzył się na ten uśmiech kuszący, na ten uśmieszek zimny, a przecież dodający żaru maleńkim, dziecinny prawie jeszcze wargom.

Jego żółtawe, okrągłe oczy nabierały szybko ostrego wyrazu zdecydowania. Ruchy całej postaci stały się czujne i prędkie.

Starsza pani wytrawnym wzrokiem obrzuciła tych dwoje.

Ręce jej nieznacznie zaciskały się i otwierały, otwierały się i zaciskały.

Czekała jeszcze chwilę.

Nagle wzrok jej, jak mocne, porywcze dotknięcie, przesunął się po stalowo-popielatym grzbiecie mężczyzny i pchnął go w stronę dziewczyny.

Na nieruchomej twarzy panny Krystyny drżał wciąż migotliwy uśmiech.

Gość, nie odrywając już łapczywych oczu od tego uśmiechu, wyjął z kieszeni safjanowe pudrko:

— Niechże mi będzie wolno w tym szczęśliwym dniu...



W otwartej furtce stanął siwy rybak. W rękę trzymał pęk złowionych ryb, nanizanych na wspólny sznurek. Płatki to były srebrne i tęgie, mocne w karaku szczupaki. Szczupaki i płatki... martwe wszystkie.

Struchlałe oczy Krystyny przeleciały ponad głową pana Fabrycego i zmartwiałe, zabite, upadły do

bosych, zakurzonych stóp Rybaka. A wtem wiatr, zagnała ocknięty, dmuchnął w siwą brodę Rybaka i rozprzął ją po całym niebie!

Gdy Krystyna podniosła pochyloną głowę, na serdecznym jej palcu błyszczał pierścień z rubinem—dar narzeczonego.



KAROL PORAJ KOŹMIŃSKI

## ZWYCZAJNE DZIEJE

Teraz tu znów jest, jak była przed laty, Polska. Niby, nie zmieniło się wiele. Może gdzieś, po miastach. Tu, w tem miejscu, jak przed laty, obchodzi swój kilometr stary Skowron. Prawda, kurta i czapa inna, ale ten sam, jak był — tor kolejowy. i niemal w tych samych godzinach, jak dawniej, przechodzą pociągi. Czapka i kurta inna, bo i mowa, i władza inna nastąpiła, to Skowron dobrze rozumie. Ale — w tej samej przecieży budzie mieszka, tych samych miejsc dogląda, ten sam grabi żwir, te same opatruje szyny, dawno niezmieniane, ale pewnie dobre jeszcze podkłady... A cóż? To jego od lat robota.

Teraz tu—Polska. Tam zaś, za Osą—Niemce. Roboty trzeba pilnować, jak zawsze to było, a teraz od niedawnego czasu, więcej, niż zwykle. Przypominają, sprawdzają, uczą. To od tego wypadku pod Starogardem. Było to jakoś przed Zielonemi Świętami. Cały tranzytowy pociąg od Królewca. Ba, podkłady miały być przegniłe, gdzieś obok toru jakiś łom żelazny znaleźli. No, zakręt był duży, nasyp wysoki, zluzowane mutry, czy coś... Jak to było, niewiadomo do dziś. Cały pociąg!

Ale tu, pod Jabłonowem, cicho. Skowron nie uważał nic złego. Teraz wyszedł już z lasu i idzie do swej budy. Jeszcze raz rzuca okiem za siebie, ale noc jest ciemna, ledwie widać półkrąg toru, a dalej gęsty zagajnik, pustka, noc... Za pół godziny przeleci tędy kurjer, wtedy Skowron pójdzie spać.

Jeszcze raz patrzy w zagaje. W pewnym momencie błysnął tam ognik czerwony, jakby ktoś światło zapalił, ale to światło wnet zagasło.

— Przywidziało mi się, czy co?—mruży Skowron i oczy przeciera. Ale teraz nie widzi już nic. Wszystko, jak było: ciemno, cicho, noc.

\* \* \*

Jerzy obudził się. Obudził go pęd pociągu, rosnący, wściekły.

— Nadrabia czas spóźniony, jak zapewniał Tod.

Jerzy uśmiechnął się. Jakie śmieszne nazwisko! Co on tam robi teraz w swoim kącie, ten człowiek o śmieszonym nazwisku, ze swemi złotymi zębami? Śmierć — życie, sen—jawa. Jakie to wszystko bliskie, zachodzące ciasno jedno w drugie. Gdzież są granice tych, tak „krańcowo przeciwnych“ rzeczy? Oto on, Jerzy, żyje, jest w pełni sił; nieraz zaglądał śmierci w oczy, był w czasie wojny dzielnym żołnierzem, ale nie chorował nigdy, jest zdrow i młody, w pełni sił. Nie wybiera się wcale na żaden inny świat; śpieszy teraz z każdym obrotem kół do swego białego domku, a tam oto już za parę, czy kilka miesięcy, przybędzie nowe życie.

Nowe, młode „ja“. Jakiś początek, czy raczej tylko ciąg dalszy jego własnego życia. Nie, ani początek, ani koniec: jedno ogniwo w łańcuchu, któremu na imię nieskończoność...

„Koniec nie istnieje“ — mówi gdzieś Kellerman.

Dzieciństwo, młodość, miłość, każdy wysiłek mózgu, myśl, każde natężenie ramion, uścisk pieszczoty ukochanego drugiego człowieka—czyż w końcu wszystko to nie jest tylko nieświadomym spełnieniem jakiegoś ciężącego obowiązku, a więc pewnym podejściem tylko w stosunku do nas jakichś odwiecznych potęg, które, chcąc utrzymać życie własne, użyły nas, jako bezwolne, oszołomione narzędzie, a my, zrobivszy swoje, zapewniwszy ciągłość „gatunku“, czyż nie spełniłszy już swego istotnego zadania, czyż nie powinniśmy iść precz z całą bandą naszych marzeń, myśli, projektów?...

— Jakże ten wagon dziś rzuca. Jeszcze chwila, a wyrwie się z szyn! Ślepy, szalony wagon.



Wyciągnąć się trochę nawznak; już dobrze. Przeszedł ten niemiły nastrój z wieczora. Za parę godzin dzień; będziemy w domu...

Jakby galop rozhukanego konia, ucho nie odróżni już stukotu kół; już dawno zlał się ten rytm w jakiś jednostajny, suchy trzask. Wydaje się, że błękitny wagon zatacza teraz kręgi, jak kamień, uwiązany na sznurku. I nagle, jakby ziemia ucieka z pod nóg! I grom tysięcy młotów...

\* \* \*

Ira budzi się z ciężkiego, męczącego snu. Usta z trudem chwytają powietrze. W piersiach coś dusi, aż boli. Jakież przykry sen! Otwiera oczy; zdziwiona, ogląda swą białą sypialnię w mroku przyćmionej lampy nocnej. Cóż to było? Zdawało się jej, że godzinami męczy się, ucieka przed czemś strasznie, chce krzyczeć, a nie może wydać ani jęku. Teraz to wszystko już przeszło: przysła wreszcie zmora dręczącego snu i tylko na dnie, głęboko, drzemie gdzieś jakieś nieznanne, trudne do określenia uczucie.

Duszno! Otworzyć taras na ogród, odetchnąć pełną piersią, rzeźwem, nocnym powietrzem! A potem mocno zasnąć; już niedaleko do rana.

Ira narzuca lekki szlafrok i już stuka koreczkami obcasów ku drzwiom. Pchnęła zamknięte szklane drzwi.

Objęła ją mocno w swe chłodne ramiona granatowa noc. Już gwiazdy nieco pobladyły. Cisza. Z pobliskiej stacji kolejowej dolata żałosny, jednostajny dzwonek sygnałów. Ira niemal widzi w tej chwili mały młoteczek, posłusznie bijący w metalową kopułę.

Wdole, w ogródku, mocno pachną rozchylone na noc kwiaty. Czernią się bujne, pijące rosę nocną,

liście warzyw, jagód i krzewów. Zdaje się, że w tej ciszy nocnej słyszy się szmer pracującego w tym zielonym miąższu życia. Od Wisły, spowitej w mleczne mgły, wieje chłód.

Jak cicho...

Teraz słyszy się tylko bicie własnego serca; jeszcze jeden mocny, głęboki wdech, aż na dno płuc—strumień kryształowego powietrza! Co to? Jakby echo własnego pulsu, jakby gdzieś niżej, głęboko, drugie, potężne, serce, ruch nowego tętna krwi...

Bezwład nóg. Radość nowego życia.

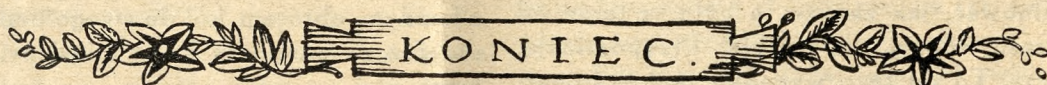
Bezwiednym ruchem Ira owija szczelnie brzegi swego nocnego stroju, spuszcza wzrok, ostrożnie idzie do swojej sypialni. Już nie czuje się samą, mimo, iż jest sama. Powoli kładzie się na łóżku, nawznak, krzyżuje dłonie, jakby tuliła już do siebie tę małą istotę, która się z niej ma narodzić, i przymyka wilgotne oczy. Czemuż tylko Jerzego w tej chwili niema?! Gdyby on tu był w tej chwili z nią, Ira nachyliłaby się ku niemu, zbudziła go pocałunkiem i szepnęła w samo ucho:

— Irzyku, już nie jesteśmy sami.

A tak—musi czekać do rana.

Ale tego rana Ira długo czekała przy okienku na ulicę. Napróżno patrzyła na kładkę drewnianą i w załom ulicy. Potem—przez długie godziny nasłuchiwała kroków, i dopiero gdzieś, koło południa, wyrwał ją, jak z uspienia, krzyk biegnącego po kładce malca z pliką gazet pod pachą...

Zadrukowana czarnymi literami biała płachta w dygocących rękach; goniące się, jak robactwo, litery, z których nie można zrozumieć nic zgoła...



GINA LOMBROSO

4)

## DUSZA KOBIETY

KSIĘGA I.

ALTEROCENTRYZM I TRAGICZNE POŁOŻENIE KOBIETY

Nic jednak trudniejszego, jak oddzielić w sobie przyjemność od interesu, oszacować jedno i drugie. Ta trudność przecie stanowi o wszystkich niemal tragediach życia kobiecego. Złudzona, że znajdzie większe zadowolenie, gdy pójdzie za głosem zainteresowań, często w życiu i w dziejach, kobieta odrzuca na parę lat lub parę pokoleń swoją postać, utoczoną przez instynkt, swoje posłannictwo matki, kapłanki domowego ogniska, dobrowolnej sługi miłości i poświęce-

nia; wyrzeka się swojej roli czysto kobiecej, aby wstąpić na arenę polityczną, literacką, społeczną czy naukową, rozrosnąć się materialnie i moralnie, stanąć, jako osobowość, na wysokości swoich zamiłowań. Tak właśnie dzieje się w chwili obecnej. Młoda generacja patrzy na nas, starsze, okiem politowania: „Tak, kiedyś kobieta była ofiarą miłości, całe swoje siły oddawała dla innych; może niejedna w skrytości i dzisiajby to zrobiła. Głupi atawizm, nawyk, ugoda, wy-



chowanie! mrzonki rodziców, które my, nowe pokolenie, gwałtownie zdepcemy i powywracamy!"

Niestety! nie po raz pierwszy tak się dzieje na świecie. Nie jesteście pierwszym pokoleniem, które usiłowało zatriumfować nad przeszłością — i zawsze, po krótszym lub dłuższym czasie, cofało się zniechęcone, widząc, że goni — marę. Pośród największych triumfów miłości własnej przekonywała się kobieta, że nie znajduje prawdziwego zadowolenia, jakie dawały jej twarde obowiązki macierzyństwa i przywiązanie najbliższych.

Tak więc, jak wahadło zegarowe, pozostaje ona wiecznie w zawieszeniu między zamiłowaniem, które naogół wyraża feminizm, a uczuciem, zawartem w altruistycznym uczuciu macierzyńskim i w miłości.

Kiedy w życiu uczuciowym zaznała niewdzięczności mężczyzn, zaznała rozczarowań, — zboleła, szuka schronienia w świecie rozumu, czy szerszych zainteresowań; wkrótce jednak, mimo dopięcia celów, ogarnie ją pustka, wraca więc znowu do uczuć. Jest to znowu tragedia, nieznaną mężczyźnie. On nietylko swój cel przedmiotowy osiąga środkami, zależnymi od jego własnej woli, ale, osiągając je, nie staje w poprzek interesom, które często zbiegają się z pragnieniami.

\* \* \*

Nie dosyć na tem. Alterocentryzm kobiety nietylko przeciwstawia jej zainteresowania uczuciom, ale, jakby dla utrudnienia i powikłania jej sytuacji, rzuca uczucia jedne na drugie.

Dzieci, ojciec, mąż, których kocha, — to różne indywidualności, o różnych dążeniach, często nawet antagoniści, darzeni przez nią niejednakową miłością, i nawzajem nie z tych samych pobudek jej oddani.

Niełatwo jest matce zgrać ze sobą odmienne uczucia, jakie żywi dla dzieci, albo uzgodnić postępkę, podyktowaną miłością dla męża, z postępkami, dokonanymi pod wpływem uczucia dla matki, ojca, rodzeństwa; zestroić dawne przywiązanie do opuszczonego domu rodzicielskiego z przywiązaniem do rodziny, do której wstępuje. Nie jest też rzeczą przypadku, że tradycja rozcięła za nią nieodwołalnie cały splot zagadnień, kiedy uznała za jej obowiązek rzucić dawne więzy w chwili, gdy nakłada nowe, i ustanawiając pewną hierarchję uczuć.

\* \* \*

Nic podobnego w stosunku do mężczyzny. Przedmioty jego przywiązania, gdy nie są nim samym, są dalekie w czasie i przestrzeni, nie potracają się wzajemnie. Żadna sprzeczność nie dręczy mężczyzny, który kocha jednocześnie muzykę i politykę, starożytności i dobre wino. Może sobie wytknąć drogę i nie zbożyc z niej, nie wchodząc w zatarg ani ze sobą, ani z innymi.

I dalej: jednostki, będące przedmiotem uczuć kobiety, zmieniają ciągle życzenia i wymagają od niej coraz czego innego. Młodzieniec żąda od narzeczonej poezji, wdzięku, naiwności, nieznanowości życia. Ten sam, jako mąż, żądać będzie od tej samej kobiety,

aby mu prowadziła dom, pozwalała zapomnieć o materialnej stronie bytu, miała doświadczenie życiowe, była solidna i zaradna. Ma słuszną: miłość nie jest treścią życia dla mężczyzny, może więc przechodzić nad nią do porządku dziennego; ale czy podobna, aby kobieta nad tem nie cierpiała?

Albo jeszcze. Dziecko upiera się, aby matka nie odstępowała go ani na krok, bawiła je, chodziła za niem o każdej porze i godzinie. Po kilku latach, gdy dorośnie, zażąda od tej samej matki, aby mu dała spokój; nie będzie chciało słyszeć o jej radach i doświadczeniu, zamarzy o samodzielności. Słusznie: doświadczenie trzeba zdobywać samemu; ale jak może matka, przywykła, że najważniejszym jej obowiązkiem jest ciągle baczenie na dziecko, tak odrazu odsunąć się od niego?!

Na tem nie koniec nieuniknionych tragedij, wynikających z jej usposobienia altruistycznego. Mężczyzna, którego ideałem jest sława, czy nauka, nie potrzebuje zmieniać co chwila punktu widzenia. Jego cele wymagają zawsze równego napięcia w tym samym kierunku i wynagradzają go mniej lub więcej w stosunku do trudu, jaki włożył dla ich osiągnięcia. Może iść za głosem zamiłowań, trwać dalej po niepowodzeniu, albo się usunąć, — to jego rzecz: nikt tu nad nim nie stoi, i to z takich, którzy sami kłócą się między sobą i wymagają rzeczy najsprzeczniejszych.

\* \* \*

Zatem, nie wrogie warunki, nie prawa ludzkie, nie zła wola bliźnich — wywołują największe tragedje, których ofiarą jest kobieta: to powołanie własne uzależnia ją od innych, których kocha i przez których chce być kochana.

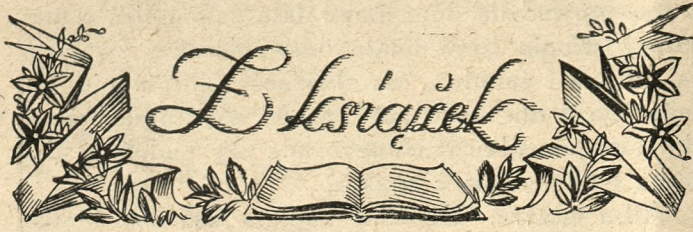
A w takim razie: nie zmiana położenia prawnego przyniesie poprawę jej losu, ale ogólne podniesienie wychowania, zwłaszcza mężczyzn, które sprawi, że ją lepiej ocenią i skuteczniej poprą.

Kiedy ojciec, który ubóstwia córkę i przenika po najtajniejsze drgnienie duszy — trwoży się o jej przyszłość, — to nie przeraża go prawo, które ogranicza ją politycznie, albo niedostatecznie ochrania od przewagi mężczyzny; nie idzie mu o jej tragiczną sytuację społeczną specjalnie, jako kobiety, — lecz niepokoi się, ponieważ zna ludzi i wie, jak córka łądzi się, co do ich wartości, wie, że wydadzą na pośmiewisko jej duszę, okrzyczawszy jej naiwne zaufanie do samej siebie jako *zarozumiałość*, niezwykłą zapobiegliwość — jako *egoizm*, nielogiczność — jako *głupotę*, a idealizm — jako *fałszywy sentymentalizm*. Gdybyż znała ludzi tak, jak oni! Gdybyż oni znali ją, jak on ją zna, — o ileż byłby o nią spokojniejszy!

Stanowisko społeczeństwa jest podobne do stanowiska tego ojca. Tylko w myśl jego życzeń można poprawić położenie zarówno kobiety, jak mężczyzny, otwierając oczy jemu i jej, aby oboje mogli uniknąć niepotrzebnych nieporozumień, które tak tragicznie umieją zaciążyć nad dolą kobietę.

(d. c. n.)





Bernard Shaw—„Podręcznik socjalizmu i kapitalizmu dla inteligentnych kobiet“ \*)

Oto tytuł wydanej ostatnio, imponującej w rozmiarach swoich (500 str. druku) książki B. Shawa. Jak należało się tego spodziewać — mistrz pióra, bel esprit i niezrównany paradoksylista, potrafił i w tej ścisłej, suchej, a wyczyszczonej i starej, jak świat, dziedzinie—wykazać łwi pazur i nawet na tak jałowym polu rozsypać perły swego [wielkiego talentu i zimnego, gryzącego dowcipu!

Aczkolwiek dzieło to napisane jest wprost genialnie w zrozumieniu prostoty i jasności stylu—nie sędzę, ażeby tutaj, w Anglii, książka o tak mało exciting tytule mogła liczyć na poczytność wśród owych „inteligentnych kobiet,“ dla których rzekomo jest napisana. Współczesna przeciętna inteligentna angielska, mówiąc bezstronnie, do niedawna wcale się nie interesowała zagadnieniami tak poważnej natury. Cóż dopiero mówić o idącym wstecz pokoleniu... o kobietach z okresu panowania królowej Wiktorji, o której ignorancji mówi z wielką otwartością B. Shaw?! Wielki ruch kobiecy, który rozpoczął się w Europie przy schyłku zeszłego stulecia, nie znalazł w Wielkiej Brytanji żadnego echa.

W tym czasie, kiedy dziewczęta innych narodowości, a przede wszystkim — polki i rosjanki, jeszcze na szkolnej ławie, ukrywając się, pożerały Mill'a, Lock'a, Spencer'a i Marksa i, idąc przebojem — zdobywały dla siebie równouprawnienie, szerzyły oświatę i brały czynny udział w życiu swego społeczeństwa, — tu, na wyspie, kobiety tej samej sfery niczem nie zmanifestowały chęci pójścia w ślady tamtych sióstr swoich.

To też Anglja nie może poszczycić się żadną Curie-Skłodowską, ani Zofją Kowalewską, ani też legjonami zasłużonych, a ukrywających się w cieniu, działaczek społecznych.

I, rzecz prosta, nie mógł mieć żadnych pod tym względem złudzeń taki znawca swojego narodu i obserwator, jak B. Shaw. Przeciwnie: sam wydaje swoim rodaczkom świadectwo ubóstwa umysłowego i tłumaczy się poniekąd z napisania tego rodzaju książki... Jak się okazuje, bratowa B. Shaw'a, pisząc do niego, prosiła go, ażeby jej wytłumaczył, co znaczy socjalizm — w liście (!)

„Pomyślałem z początku“ — pisze B. Shaw, — „że wskażę jej poprostu setki dzieł, traktujących o socjalizmie, lecz uświadomiłem sobie, że czysto naukowy, akademicki język — zrozumiały i jasny dla studentów i tych, którzy poważnie kształcą się w zakresie ekonomji politycznej, filozofji i socjologii — byłby zupełnie niedostępny dla kobiet, mało z temi gałęziami nauki ścisłej obeznanych“.

To też nie dla nich z pewnością pisał swoją książkę B. Shaw. Zbyt dobrze wie, że przeciętnej mentalité jego rodaczek wystarczają jaknajzupełniejszą powieści Elinor Glyn i t. p. Należy tedy przypuszczać, że książkę o tak wyraźnie propagandowem zacięciu przeznaczył poprostu dla kobiet — członków Parlamentu, których już jest bardzo wiele i których liczba wzrastać będzie stale, wbrew kampanji, prowadzonej przeciwko nim. Jaką jest utopja... przepaszam! — koncepcja idealnego ustroju państwowego B. Shawa?

Oczywiście — równość pod względem ekonomicznym, zupełnie tak, jak o tem marzył dość dawno przed nim Plato i inni... B. Shaw jednego nauczył się od nich: „trzeba mieć cierpliwość i nie chcieć gwałtem przeprowadzać tych rzeczy.“

Oszczędność — innemi słowy nie wydawanie pieniędzy — jest według B. Shaw'a, zbrodnią nie do darowania, szczególnie wśród ludzi źle uposażonych.

„Biedni ludzie“ — powiada — „nie tylko nie powinni odkładać, ale nie powinni nawet myśleć o tem Oszczędności są źródłem wszystkiego złego. Wydawanie nie tylko jest koniecznością, ale obowiązkiem.“

Gdzieindziej pisze:

„Niema żadnej zasługi w tem, że się daje zarobkować: morderca daje zarobić katowi; ktoś, kto samochodem przejeżdża dziecko, daje zarobić lekarzowi, właścicielowi zakładu pogrzebowego, księdzu, kopaczom cmentarnym i t. d., słowem, tylu zacnym ludziom, że kiedy sam odbiera sobie życie, wydaje się niewdzięcznością, że się takiemu dobroczyńcy ludzkości nie wystawia pomnika.“

Książka obfituje w tego rodzaju paradoksy, których, rzecz prosta, nie można brać dosłownie. Inteligentny czytelnik potrafi z nich wyłuskać ziarno prawdy. Poza swoją niezaprzeczoną wartością znakomicie napisanego, dostępnego nawet dla ludzi bez żadnego specjalnego przygotowania — dzieła o socjalizmie i kapitalizmie, książka B. Shawa zawiera bardzo ciekawe, tchnące szczerością szczegóły o ciężkich warunkach materialnych autora, o jego długiej, uporczywej walce o byt, w niezbyt dalekiej przeszłości. Oto, jak zwraca się do czytelników, mówiąc o sobie:

„Lepiej będzie, jeżeli od razu będziecie wiedzieli, z kim macie do czynienia. Jestem właścicielem nieruchomości i kapitalistą, dostatecznie bogatym, ażeby płacić najwyższą normę podatku majątkowego. W dodatku, mam specjalny rodzaj własności, która się zowie literaturą, i za swoje prawa literackie każę sobie

\*) „The intelligent woman's guide to socialism and capitalism“



płacić zupełnie tak, jak kamienicznik każe sobie płacić za komorne. I protestuję przeciwko nierównomiernemu podziałowi dochodów, nie jako człowiek o małych dochodach, ale jako człowiek o bardzo dużych dochodach.

Mimo to, wiem, co znaczy być proletariuszem, i to — biednym proletariuszem(!) Pracowałem w biurze, ale latami byłem bez zajęcia i musiałem żyć na koszt mojej matki. Przeszedłem przez wszystkie stadia niepowodzeń. Urodziłem się w sferze najniebezpieczniejszej, bo w sferze ludzi przywoitych, od których wymaga się, ażeby zachowywali pozory dobrobytu, nie mając literalnie żadnych potemu środków.

Dziękuję się z wami temi wiadomościami, gdyż często się zdarza, że bogaci piszą o biednych, lub biedni o bogatych, nie mając właściwego pojęcia o tem, o czem piszą. Ja znam całą gamę tych przeżyć z własnego doświadczenia, włącznie do uczucia głodu i braku noclegu, t. j. rzeczy, przez które żadna istota ludzka nie powinna przechodzić. Jeżeli zaś dziś mówię o „zielonych winogronach“, to nie podejrzewajcie, że są one dla mnie niedosiężne. Mam je obecnie w ręku — i to najpiękniejsze, najdojrzałe”.

Trudno jest w pobieżnych nawet konturach naskikować ocenę krytyczną tak bogatej w treść książki. Sądzę, że u nas, w Polsce, będzie ona miała wielkie powodzenie. I nie tylko u kobiet. Zasługuje na to. Londyn w czerwcu 1928 r. *Teodora Drzewiecka.*

\* \* \*

*Dr. Wanda Dobrowolska.* „Młodość Jerzego i Krzysztofa Zbaraskich“ — Nakładem Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu 1926 r.

Odrzuć, po pobieżnym nawet przejrzeniu tego dzieła, rzuca się w oczy wyraźnie syntetyczność umysłowości autorki. Gdy chodziło o zbudowanie prawie że od nowa dziejów zapomnianego już potrosze rodu na podstawie starych szpargałów, herbarzy, listów i, na oko, nic nie znaczących zapisek, — autorka wywiązała się doskonale ze swego zadania. Praca ta, ściśle naukowa i źródłowa, nosi znamię niesłychanej skrupulatności piszącej, a zarazem jej zupełnie swobodnego poruszania się w dziejach Polski z wieku XVII. Autorka z powodzi chaotycznych faktów nie tylko że potrafiła wybrać rzeczy najważniejsze i nadać im odpowiednie znaczenie, ale jednocześnie rzucić fakty na tło epoki, zachowując przytem przez cały czas poważną naukową postawę, pozbawioną frazesów i zbędnych drobiazgów. Świetnie zastosowana w tej pracy metoda chronologiczna i przejrzysty układ całości czynią z niej naprawdę pożyteczną pozycję historycznej bibliografii.



TEATR REGIONALNY

„Wesele na Kurpiach“ — tekst *ks. Skierkowski.*  
inscenizacja *dyr. Szarzyńskiego.*

Komu się zdarzyło być na Kurpiach, tego musiała uderzyć dostojność, powaga i pełna prostoty swoboda obejścia ludu puszczańskigo, jego, że się tak wyrażę, pańskość, właściwa tylko chłopom, z dziada pradziada osiadłym na królewszczyznach, nie znającym ekonomskiego batoga i innego prawa, jak odwieczne, nieraz okrutne, prawo puszczy.

Pamiętam z przed paru lat odpust w Kadzidła i te grupy roślących kobiet, stąpających poważnie w sztywnych dzwonach kiecek (po kurpiowsku „kitli“), własnym ciężarem stojących na ziemi, niby odwieczne robrony prababek. Pamiętam te opanowane w ruchach, ale rozświegotane dziewczęta, którym młodzież asystowała w przywoitej odległości, jak każe obyczaj puszczy. I na haftowanych koszulach i kwiecistych gorsetach ciężkie naszyjniki z kopanych w puszczy bursztynów, ciemnych, jak miód leśny, a grubych, jak leśne jabłuszka.

Te obrazy niezapomnianej, wakacyjnej włóczędzy od Ostrołki do Nowogrodu, od Myszyńca do Kadzidła — ożyły we mnie nagle z siłą rzeczywistości, kiedy na scenę teatru Regionalnego wkroczyły z tęskną puszczańską piosenką moje odpustowe dziewczęta. Przysięgłbyś, że te same! Podobno widzowie „Wesela na Kurpiach“ zakładają się nieraz, że mają do czynienia z autentycznymi kurpiankami. Za dobre, za naturalne na zawodowe aktorki!

Wielkie to zwycięstwo dyrektora i reżysera razem, który się wziął z materiału folklorystycznego stworzyć widowisko ciekawe, pulsujące życiem i prawdą, trzymające uwagę widza w napięciu, pomimo zupełnego braku fabuły i tego, co się nazywa węzłem dramatycznym.

— Zmierch, czy odrodzenie? — zapytał jeden z krytyków po premierze „Wesela na Kurpiach“.

Zaiste, możnaby za nim powtórzyć — czy to zmierch dawnego teatru, czy świt nowego?

Tego rodzaju widowiska nie można traktować jedynie, jako obrazową lekcję etnografji. Poza ścisłością w odtworzeniu wnętrza, stroju, obyczaju, daje ono szmat życia ludzkiego, traktowany uniwersalistycznie. Fizjognomje duchowe i fizyczne uczestników wesela — to szematy milionów — typy, nie indywidualia; ich psychologja jest psychologją masy, ich głosy — głosami rzesz,





Scena z „Wesela na Kurpiach”.  
Młody—p. Płuciński i Młoda—p. Poraska.

od wieków siedzących na roli, związanych z ziemią i słońcem węzłami magji prasłowiańskiej, praaryjskiej nawet. Kiedy panna młoda toczy krągły bochen chleba po stole weselnym, obchodząc go wokoło tak, jak słońce chodzi, to czuć, że sprawuje ona obrzęd tajemny, który z niej czyni kapłankę-cudotwórczynię, żonę-matkę, szafarkę życia, wszelkich dóbr i łask ziemskich.

Takich momentów jest pełno w tradycjach naszego ludu,—inscenizacja „Wesela na Kurpiach” w wyrazisty sposób je podkreśliła.

Kto umie czytać w tej księdze tajemnic i czarów, jaką jest folklor, spotka w „Weselu” starych, dobrych znajomych; kto szuka w niej tylko malowniczości, znajdzie tu linję, barwę i ekspresję artystycznie skomponowanego obrazu, a kto żywi „chłopomańskie” sentymenty, ten dosyć nakarmi swoją piastowską tęsknotę.

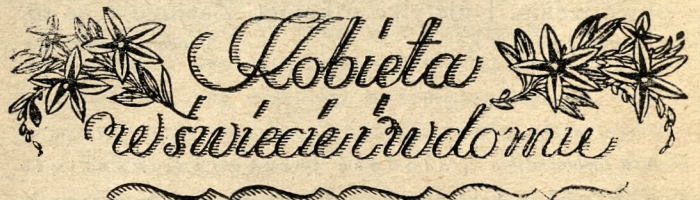
Teatr Regionalny, stale rezydujący w Płocku, tej prastarej stolicy Mazowsza, na letnie występy ściągnął do Warszawy, obrawszy sobie siedzibę w jednym z najmilszych lokali, jakim jest bezwątpienia dom Związku Kolejarzy przy ul. Czerwonego Krzyża. We wnętrzu ślicznej sali, skomponowanej w drzewie przez prof. Jastrzębowskiemu, z właściwym mu smakiem i umiarem w stylizacji, co wieczór rozlegają się dziarskie piosenki, furkoczą kiecki „dziwczoków” w skocznym

„Olendrze” i dostojnie wiruje starszyzna kurpiowska w tradycyjnym „Powolniaczkę”.

Teatr Regionalny w końcu sierpnia wyjedzie na trzy dni do Spały i da szereg przedstawień na dożynkach u p. Prezydenta. Pożądanem jest, aby pozostał w Warszawie przez wrzesień, i aby młodzież szkół, zarówno średnich, jak powszechnych, zapoznała się z tem przesłicznym widowiskiem.

Słyszeliśmy, że w roku przyszłym projektowana jest wędrowka po Westfalji i Francji. Wszędzie, gdzie skupiła się większa kolonia emigrantów polskich, tam teatr Regionalny rozbić ma swe namioty, rodzimą pieśnią, tańcem i obrzędem wzmocniając nadwątlone nieraz węzły, łączące uchodźców z daleką macierzą. Niewątpliwie taka akcja nie obejdzie się bez wydatnej pomocy państwowej, która umożliwi dyrekcji teatru Regionalnego racjonalne rozszerzenie swego repertuaru. Kolejny przegląd wszystkich dzielnic, artystyczna rewja polskiego folkloru—uczyni zeń dopiero żywe Muzeum Etnograficzne, o niesłychanej wprost doniosłości propagandowej. Ale na to przełamać trzeba obojętność ogółu naszego, który wypełnia kabarety, a na „chłopskie” przedstawienie idzie niechętnie, jakby „z pańskiej łaski”.

S. P. O.



#### KOBIETY PRAGNĄ POKOJU ŚWIATA

Na dzień 14 sierpnia zapowiedziana jest wielka manifestacja pacyfistyczna świata kobiecego.

We wszystkich krajach, w których istnieją stowarzyszenia pacyfistyczne, w szczególności zaś „Liga Kobiet Pokoju i Wolności”, kobiety mają złożyć swym rządóm memorjały z wezwaniem do rozbrojenia i zwołania międzynarodowej konferencji rozbrojeniowej. Tam, gdzie ruch pacyfistyczny jest silniejszy, jak np. w Ameryce, krajach brytyjskich, w Szwajcarii—mają być przy tej sposobności zorganizowane obchody propagandowe, o charakterze popularnym i agitacyjnym.

Ruch za utrzymaniem pokoju, a potępieniem wojny przybrał na terenie międzynarodowym rozmiary bardzo poważne. Szczególnie kobiety żywo odczuwają wszelkie zakusy przeciw pokojowi i drżą na myśl o zmąceniu drogo osiągniętej po wojnie światowej równowagi. Wystąpienia zwłaszcza angielskich i amerykańskich są pod tym względem bardzo radykalne. Interesują się one wszystkim, co może stanowić groźbę dla pokoju powszechnego: konfliktami mniejszości narodowych na Bałkanach, sprawą litewską i wojną w dalekich Chinach. Dwie delegatki Międzynarodowej Ligi Kobiet Pokoju i Wolności były wysłane swego czasu do Chin i interwenjowały przeciw wysyłaniu tam broni oraz sprzedaży opium.

Szeroką akcję prowadzi również Liga Kobiet na terenie wychowania, dążąc do wprowadzenia do szkół ducha pacyfizmu. Organizuje w tym celu specjalne kursy wakacyjne i szkoły pacyfistyczne dla młodzieży.



Stanowisko sekcji polskiej w Międzynarodowej Lidze jest dość trudne ze względu na brak zrozumienia ze strony cudzoziemców sytuacji Polski wobec sąsiadów i grożących jej niebezpieczeństw. Polska Liga Pokoju i Wolności rozwinęła wszakże akcję w celu nawiązania porozumienia z Niemcami, w szczególności na Córnyem Śląsku. By łągodzić niepożądane konflikty i zaognienia polsko-niemieckie, utworzono specjalną Komisję „graniczną”. Liga dała również początek organizacji polskiej młodzieży pacyfistycznej i stale bierze udział w pracach na terenie międzynarodowym, w Kongresach pacyfistycznych i konferencjach Ligi Narodów w Genewie.

Na tegorocznym Kongresie Międzynarodowym Pokoju, który się odbył z końcem czerwca w Warszawie, Polska Liga Kobiet Pokoju i Wolności wystąpiła wśród organizatorów i pracą swą wydatnie przyczyniła się do powodzenia Kongresu.

Poza udziałem w posiedzeniach Kongresu, Polska Liga Kobiet urządziła dwa zebrania kobiece dla uczestniczek Kongresu. Wygłoszone przy tej okazji referaty dały obraz akcji kobiecej na rzecz pokoju w różnych krajach. Przemawiały: miss Balch, amerykańkanka, p. Wiedergreen, szwedka; referat, świetnie obrazujący stanowisko i rolę kobiety polskiej, wygłosiła dr. Z. Daszyńska-Golińska; następne referaty poświęcone były kobiecie chińskiej i kobiecie australijskiej.

W trudnych i zawiłych kwestjach pokoju międzynarodowego, którego pragną kobiety wszystkich krajów i narodów świata, a który napotyka dziś jeszcze tysiączne przeszkody — w akcji, wymagającej poparcia najliczniejszych rzesz kobiecych, — wyróżniają się na czele sekcji polskiej Ligi Pokoju i Wolności p.p.: dr. Budzińska-Tylińska, dr. Kodisowa, Dąbska, Jagminowa, Łypaciewiczowa, dr. Bassalikowa i inne działaczki.

j. k.

#### WAKACJE DZIECI BEZDOMNYCH W WARSZAWIE

W barakach i domach miejskich, zbudowanych w Warszawie dla bezdomnej ludności, mieszka już zgórą 8.000 osób, w tem 2 — 3.000 dzieci.

Dzięki Komitetowi „Osiedle”, zorganizowanemu przez grono pań, z p. Marszałkową Piłsudską na czele, roztoczono szczególnie troskliwą opiekę nad dziećmi osiedli miejskich na Anopolu, Zoliborzu, Powązkach i Grochowie. Urządzono świetlice i przedszkole, żłobek dla malutkich dzieci, a na czas lata stworzono kolonie i półkolonie. Nad morzem, w Jastarni, przebywa 200 słabowitych dzieci; spędzą tam 6 tygodni.

Dla dzieci, pozostałych w Warszawie, zorganizowano półkolonie pod kierunkiem fachowych wychowawczyń i wychowawców. Dzieci przez cały dzień przebywają na świeżym powietrzu, bawią



Zdj. na płytach „ALFA”

Dzieci na półkolonjach — Powrót ze spaceru

się, odbywają wycieczki i trzy razy dziennie otrzymują dobre pożywienie. Do współpracy w dyżurach przy rozdawaniu pożywienia dzieciom wciągnięto ich matki, co stwarza bardzo dobry nastrój. Dzieci są nadzwyczaj zadowolone, wyglądają doskonale i największym ich zmartwieniem jest moment, gdy wieczorem muszą rozstać się ze swoją gromadką.

Opieka Komitetu „Osiedle” nie ustanie, oczywiście, z nadejściem jesieni. Dla dzieci starszych, które pójdą do szkół, otwarte będą świetlice rozrywkowo-kulturalne, młodsze dzieci skupią się w przedszkolach. Nieustanną i zmuzną pracę podjęły warszawskie panie w osiedlach bezdomnych, — lecz wyniki tej akcji wśród paru tysięcy dzieci wywierają wpływ jaknajlepszy pod względem zdrowotnym, wychowawczym i moralnym.

j. k.

#### KLUB POLITYCZNY KOBIECZYCH W KRAKOWIE

Pragnienie, aby najliczniejsze zastępy kobiet uświadomiły sobie, jak wielką jest ich odpowiedzialność wobec państwa, jak koniecznym jest wzięcie czynnego udziału w pracy państwowotwórczej — przyczyniło się do powołania do życia Klubu Politycznego Kobiet Polskich w Krakowie. Oto, jak założycielki K.P.K.P. pojmują cele i zadania Klubu.

Program K. P. K. P.:

O r j e n t a c j a. Konieczność etyki w polityce. Dobro państwa i wszystkich jego obywateli, a nie korzyści stronnictw i osób.

C e l e. Uświadamianie polityczne kobiet, co do ważności uzyskanych praw i doniosłości obowiązków, stąd wynikających. Wprowadzenie w życie praw, nadanych kobietom (mandaty do Sejmu, Senatu, Rad gminnych). Zdobywanie tych praw, które jeszcze nie zostały przyznane kobiecie (sądownictwo i t. d.), aż do zupełnego równouprawnienia.

Ś r o d k i. Wieczory dyskusyjne, sprawozdania posłanek, publikacje, artykuły w dziennikach. Własne czasopismo. Nawiązywanie stosunków z już istniejącymi stowarzyszeniami kobiecymi. Branie intensywnego udziału w ogólnym życiu społecznym.

H. S.

#### 50 LAT STUDJÓW KOBIECZYCH W SORBONIE

Wśród wielu jubileuszów, jakie r. 1928 przyniesie cywilizowanemu światu — między innymi rocznicę Ibsena, Tołstoja, Hippolita Taine'a — jeden zdaje się przejdzie w zupełnym zapomnieniu. Mianowicie w styczniu 1928 r. minęło 50 lat od kiedy dopuszczono oficjalnie kobiety na niektóre kursa w Sorbonie paryskiej.

Było to zasługą w pierwszym rządzie ówczesnego ministra pracy Wiktora Duruy, który zwrócił specjalną uwagę na wykształcenie kobiet. Sprawa ta przeszła nawet bez wielkich utarczek



Zdj. na płytach „ALFA”

Dzieci na półkolonjach — „Myju, myju, chlastu, chlastu”



Coprawda wielu konserwatywnie usposobionych ludzi drwinami lub oburzeniem starało się zwalczać współpracę studentów i studentek na uniwersytecie, uważając to za niebezpieczeństwo moralne, ale konserwatyści przegrali kampanję.

Wprawdzie i znany filozof francuski Wiktor Cousin przepowiadał wogóle upadek moralności i zagładę nauki, ale Napoleon III popierał ministra pracy i jego dążenia i dzięki temu nowe zarządzenie utrzymało się, mimo krzykliwych protestów.

Studentki całego świata mogą tedy słusznie uważać ministra Duruy za patrona swoich praw do wykształcenia uniwersyteckiego.

H. S.

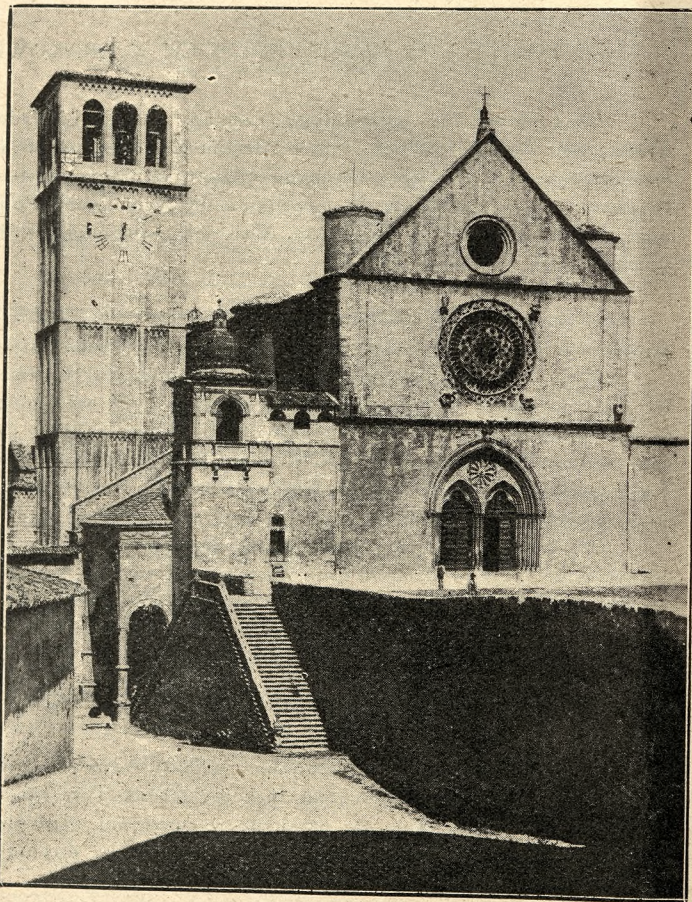
### SZYBKA KARJERA MŁODEJ DYPLOMATKI CHIŃSKIEJ

Pisma francuskie rozpisują się obszernie o karierze panny Sumé Czeng. Jest to pierwsza kobieta, która przybyła do Paryża, jako dyplomatyczna przedstawicielka obcego państwa.

Panna Czeng skończyła studia w stolicy Francji, zdając w Sorbonie doktorat prawa, w czasie wojny. W rok potem w 1919 roku była już członkiem chińskiej delegacji dyplomatycznej przy zawarciu pokoju. Po powrocie do Chin, została członkinią rządu prowincji Kiangin, później zaś objęła stanowisko przewodniczącej wyższego sądu w Szanghaju i dziekana wydziału prawa na uniwersytecie szanghajskim. W roku zeszłym przybyła powtórnie w misji dyplomatycznej do Paryża, gdzie w czasie swych studiów była czynną i niezmiernie ruchliwą członkinią chińskich i francuskich stowarzyszeń kobiecych. Obecnie panna Czeng odwołaną została znów do Chin. Niewiadomo jeszcze jaką misję otrzyma ona od nowego rządu chińskiego, ale będzie to zapewne dość ważna, gdyż utworzono dla młodej dyplomatkę specjalne biuro, złożone z pięciu sekretarzy, w których liczbie są i dwie kobiety.

N. J.

### 700-LECIE BAZYLIKI ŚW. FRANCISZKA Z ASSYŻU



W dniu pierwszym sierpnia minęło 700 lat od wzniesienia bazyliki pod wezwaniem Sw. Franciszka w Assyżu.

### KURSA „MAŁŻEŃSKIE” DLA SZWAJCAREK

Do parlamentu szwajcarskiego został złożony projekt, domagający się poboru wszystkich dziewcząt z ludu, od lat 20 — 22, do „służby rekruckiej”, która będzie polegała na uświadomieniu młodych kobiet o tych obowiązkach, jakie czekają na nie w życiu. Dziewczęta, ulokowane w koszarach żeńskich na koszt rządu, zmuszone będą poddać się „służbie” przez cały rok. Dopuszczone do niej będą tylko zdrowe i zdolne do pracy fizycznej; modne zaś, eleganckie przedstawicielki płci pięknej zwolnione mają być od przesłuchania kursów, chyba, że z własnej, nieprzymuszanej woli zaciągną się do życia koszarowego.

W program „służby”, prócz spartańskiego sposobu życia i surowej dyscypliny, wchodzi następujące przedmioty: gotowanie, pranie, wychowanie niemowląt, pielęgniarstwo, wykłady z dziedziny higieny, pedagogiki, uświadomienie seksualne, oraz nauki na temat umiejętnego i taktownego traktowania swych przyszłych małżonków. Baczna uwaga podczas roku służby zwracana będzie na dobre zachowanie się każdej „rekrutowanej”.

Po ukończeniu służby kandydatki do stanu małżeńskiego otrzymają pewną sumę od rządu na skromną wyprawę osobistą. Tak samo kasa państwowa płacić będzie za każde dziecko, które przyjdzie na świat, 500 fr. szwajcarskich. Koszta całej tej imprezy pokrywane mają być przez wysoki podatek kawalerski, który państwo winno jest ściągać z bezżennych ponad lat 30.

H. S.

### DWIE PISARKI JAPONSKIE Z XI WIEKU

W wieku X i XI, kiedy Europa pogrążona była w mrokach średniowiecza, w Japonji, na dworze cesarzy Shirokawa i Tabm zakwitł bogaty ruch umysłowy i artystyczny. Najnowszy badacz historii i literatury staro-japońskiej porównywuja ten okres, od 1073 do 1125 r., do epoki francuskiego rococo. W tym też czasie kobiety, zwłaszcza ze sfer dworskich, nie ustępowały mężczyznom w wykształceniu i nie były, wcale uważane za coś od nich niższego lub zależnego. Kronika tych czasów zanotowała nazwiska dwóch pisarek. Jedna z nich, Murasaki Shikibu, pisała powieści, świetnie obrazujące życie i obyczaje owej epoki. Utwory jej są czytane do dziś i stoją na wysokości klasycznych dzieł literatury. Druga — Sei Shonagon, była poetką-satyryczką. O tej niesłychanie mądrej, dowcipnej i utalentowanej istocie chodziły, niestety, wersje, że prowadziła życie bardzo lekkie. Sei Shonagon pochodziła z najwyższej arystokracji, była damą dworu cesarzowej. W r. 1000 jednak, po 10 latach pobytu na dworze, zniknęła gdzieś nagle, podobno umarła w biedzie i opuszczeniu. W Kyrto, na wyspie Shikoka, pokazują do dziś dnia jej grobowiec.

A oto mały wyjątek jednego z jej utworów:

„Są rzeczy niezmiernie oddalone, a jednocześnie cudownie bliskie — np. raj. Miljony mil dzielą nas od nieba, a jednak człowiek cnotliwy może znaleźć się tam odrazu, Drugą taką rzeczą daleką, a bliską, jest stosunek mężczyzny i kobiety. Etykieta i obyczaj stawiają ich na dwóch biegunach, ale z chwilą, gdy rodzi się w nich miłość — stają się odrazu sobie bliscy”.

Jest to, naturalnie, wiersz, który w przekładzie traci cały wdzięk swej bardzo pięknej formy; w każdym razie jest to ciekawa ilustracja umysłowości kobiety z 11 wieku!

N. J.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Helena Kl. Z nadesłanych prób trudno coś definitywnego wywnioskować, gdyż są to tylko t. zw. nastroje — bardzo trudna i niewdzięczna forma literacka. Wolorów językowych nie posiadają. Może to, zresztą, wskutek niedostatecznego zapoznania się z porządną nowoczesną prozą?

Zgnębionej. List Szanownej Pani wymaga obszerniejszej prywatnej odpowiedzi, prosimy więc o podanie adresu.



## UMIEJĘTNOŚĆ ŻYCIA

Jednym z najrzadszych bodaj przejawów jest człowiek, zadowolony z życia. Docenienie tego wielkiego skarbu, jakim jest sam fakt codziennego odcierania się o niezliczone cuda przyrody, radość tworzenia, dostępna każdemu człowiekowi; poczucie odpowiedzialności za budowanie życia, które nadaje mu taką głęboką treść i wagę; wreszcie ciekawość obserwacyjna, ta mądra ciekawość, która zmienia błahe napozór fakty w problematy, pogłębiające myśli i uczucia—to cechy, ze wszystkich właściwych nam cech, najrzadziej spotykane.

Znudzenie i przesyt z jednej strony, z drugiej—przymusowe chodzenie w kieracie codziennych zatrudnień bez zamiłowania, bez tej iskry bożej, która każdej najbłahszej czynności dodaje uroku i wdzięku — to najcodzienniejszy z przejawów.

Praca, najwierniejsza przyjaciółka człowieka, ta jedyna sojuszniczka, która płaci najhojniej za lojalne ustosunkowanie się do niej, jest naogół uważana za „dopust boży“. Odarta z aureoli ideału, którym powinna i musi być, jeżeli dążyć chcemy do zewnętrznej i wewnętrznej równowagi—staje się wkrótce wyrazem niesprawiedliwości losu, który w naszym upartem i zaślepieniem twierdzeniu faworyzuje jednych, a nęka drugich. Czem wytłumaczyć ten wadliwy punkt widzenia? Przeważnie dziedzicznym obciążeniem i nieracjonalnym kształtowaniem pojęć, albo zupełnym brakiem kształtowania ich w dzieciach i młodzieży.

Gdybyśmy wzrastali w przeświadczeniu i zrozumieniu całej doniosłości pracy, umiając odkryć w niej życiodajne źródła, a nie jeden jedyny cel: wywalczenie sobie dobrobytu — ustosunkowanie się nasze do niej zmieniłoby się u podstaw. Trzeba tylko chcieć uznać ją za przyjaciółkę, a nie za wroga; oddać jej z siebie tyle, ile żądamy w zamian tego, czem nam zapłaci. Trzeba wczuć się w nią i pokochać, dać z siebie najlepszą część; nie wykonywać, a tworzyć—tworzyć na każdym kroku lepsze jutro, piękno i dobro. Nie stać ani chwili na jednym miejscu; szkolić się i doskonalić, a nade wszystko—rozumieć, że żadna czynność nie jest szarym i błałym, nieznośnym wysiłkiem bez jutra, który zginie w czasie i przetrzeniu, lecz częścią składową wielkiej pracy i wielkiego dorobku—częścią składową całości.

Wśród całego szeregu różnorodnych zatrudnień niema pracy bezużytecznej! Może się ona napozór wydawać błałą, jednak spróbujmy zatrzymać jej bieg, skreślić z powierzchni życia szarzyznę jej poczyniń i dorobków, a przekonamy się wkrótce, że, niedoceniana i niezauważona, dopóki szła swoim trybem, staje się w jednej chwili ważką i niezbędną z chwilą, gdy została zaniedbaną.

Wśród wielu problemów, które miały rozwiązać sprawę idealnego ustroju świata, zapomniano o jednym,

najważniejszym! Próbowano równego i sprawiedliwego podziału dóbr doczesnych pomiędzy jednostki; głoszono „równość, wolność i braterstwo“; starano się opracować plan idealnego społecznego ustroju; gubiono się wśród najfantastyczniejszych i najbardziej realistycznych systemów zaradzenia złu, a stworzenia dobra. Każdy z systemów, nawet najdoskonalszy w teorii, w praktyce wykazywał tysiące niedoborów. Nawet te, przeświecone szczytnymi ideałami, rozбивały się o człowieka — człowieka-wykonawcę. Dopóki świat światem, zawsze są, byli i będą ci u góry i ci u dołu: jedni, sięgający po władzę i dobrobyt, d rudzy—pokrzywdzeni i rozgoryczeni. Jeden jest tylko problem, który zdołałby przybliżyć ustrój społeczny do ideału: sumienna, nienaganna praca.

Spółceństwo, złożone z zastępu pracowników, z których każdy, niezależnie od rodzaju i poziomu pracy, wykonywałby ją bez zarzutu, z umiłowaniem i zrozumieniem—stałoby się wkrótce społeczeństwem, zbliżonym do doskonałości.

Dlaczego, chcąc pisać o umiejętności życia, zatrzymałam się tak długo nad kwestją samej tylko pracy? Oto dlatego, że najracjonalniej ujętą umiejętnością życia jest zdobycie równowagi wewnętrznej, a ta idzie zawsze w parze z poczuciem spełnionego obowiązku, z owocnym trudem, ze zrozumieniem własnej odpowiedzialności i z pietyzmem, jaki kładziemy w odegranie przypadającej nam roli od początku, aż do końca!

Umiejętność życia—to w wielkiej mierze umiejętność ochronienia przez całą długą i mozolną wędrówkę doczesną największego skarbu: — radości życia. A w beczynnem, jałowem i próżniaczem bytowaniu niema miejsca na prawdziwą, słoneczną, czystą radość!

Słodycz najwspanialszego owocu, woń najcudowniejszego kwiatu, zerwanego bezprawnie, musi być zatruta kroplą goryczy, przeciwnie: godzina wytchnienia, ta niedziela, opłacona wysiłkiem całotygodniowego sumiennego trudu, w aureoli dni, spędzonych przy warsztacie pracy—staje się skarbem bezcennym, źródłem soczystej, słonecznej radości; czemś tysiąckroć cenniejszym od szeregu próżniaczych dni, zatrutych nudą i jałowem ubieganiem się za rozrywką.

Człowiek, znudzony becznością, zatracca sam siebie. Krąży dokoła niepotrzebnych problematów, upada pod ciężarem zniechęcenia, wahań i wewnętrznych niedomówień. Brak mu naogół tego punktu wyjścia, który zmienia życie w coś określonego i celowego. Pyta sam siebie, pyta innych: po co? — Wyolbrzymia uczucia i wydarzenia, wyolbrzymia urojone nieraz krzywdy; zatapia się w roztrząsaniu spraw i uczuć, nad którymi nie warto zatrzymywać się ani chwili. Przechodzi obok dobrych, cennych chwil, obok przeżyć najtreściwszych z uśmiechem pobłażania lub rozgoryczenia. Szuka ciągle, szuka stale jakiejś wielkiej niewiadomej; sięga po skomplikowane lekarstwa, nie chcąc zrozumieć, że jedyne prawdziwe, niezawodne



i najcenniejsze ma oto tuż pod ręką. Owocny, twórczy trud, szczerze zamiłowanie do podjętej pracy, radość z jej dodatnich wyników—oto przyrządek, przez który życie nabierze wartości i treści, oto oliwa, wylana na wzburzone fale „chorej duszy“...

Jednym z wielkich naszych wrogów, szczególnie wrogów kobiety, jest jeszcze przeczulenie! Ta naduczuciowość, którą w dobie przedwojennej sączono w duszę dziecka, kropla po kropli, śledząc z drżeniem wyniki poczynań, jakie miały dzieci wychować na ludzi „z sercem“. W umiejętności życia i ustosunkowania się do życia, przeczulenie jest jednym z największych ciężarów, jedną z przeszkód, którą zwalczyć najtrudniej. W życie wysyłać wolno tylko jednostki prawe, etyczne i sprawiedliwe; umiejące w równej mierze dawać i żądać; takie, które, szanując prawa innych, wiedzą i rozumieją, że wzamian i ich prawa pogwałcone być nie mogą; jednostki, szanujące cudzą indywidualność i nakazujące szacunek dla własnej indywidualności; opanowane i zrównoważone; uzbrojone w trzeźwość sądu, współczucie i wyrozumienie, jednak dalekie od sentymentalnej cłkiwości.

Kobieta jest duszą rodziny i domu. Jej wpływ—zły, czy dobry—zostawia zawsze ślady. Ona buduje życie domowe, przygotowuje do dalszego życia, które staje się skarbem, lub gehenną; to też musi przede wszystkim posiadać sama najcenniejszą z umiejętności—umiejętność racjonalnego ustosunkowania się do życia. Wolna od miernych pragnień, dążąca stale wzwyż i naprzód, a posiadająca niezastąpiony dar obchodzenia się bez tego, czego jej braknie, nie obniżając przytem swego lotu — musi dążyć naprzeciw zrealizowania ideału o szczęściu.

Czujna na piękno, jakie ją otacza, promieniująca ciepłem życzliwości dla ludzi, umiejąca doceniać uśmiechy losu, a nie przeceniać zgrzytów; nie wy czekująca nigdy wyższej zapłaty, niż położona zasługa, obdarzona darem bezstronnego samosądu—posiędzie najcenniejszy skarb: — umiejętność życia, i przekaze go tym, którzy przyjdą po niej.

W. N.



## WYCHOWANIE FIZYCZNE I HIGJENA

Z cyklu „Zawodowe wykształcenie kobiet“

Wychowanie fizyczne, higjena społeczna—to pole do działania tak szerokie, potrzebujące tylu sił fachowych do pracy, a tak odpowiednie, jako zajęcie dla kobiet,—że najgoręcej można zachęcać młode dziewczyny, wahające się w wyborze zawodu, aby tę drogę obrały, zamiast skazywać się na pracę biurową, tak męczącą, a nie dającą wzamian zadowolenia moralnego.

Do niedawna możliwości pracy kobiet na tem polu ograniczały się do dentystyki, położnictwa i manicure'u. Zapotrzebowanie na lekarki-higjenistki, nauczycielki gimnastyki, nawet pielęgniarki — poza czasowem zapotrzebowaniem wojennem—było tak niewielkie, że mało która z kobiet obierała tę drogę, z obawy, aby po uzyskaniu kwalifikacji nie zostać bez zajęcia. Decydowały się te, które czuły dość powołania i energii, aby samej stwerczyć sobie placówkę do działania, jeśli gotowej nie znajdą.

Obecnie sytuacja zmieniła się tak dalece, że w niektórych dziedzinach popyt na siły fachowe jest większy, niż podaż.

Wychowanie fizyczne dziewcząt, obowiązkowe w każdej szkole, coraz większa ilość stowarzyszeń i klubów sportowych—wymaga również coraz większej ilości instruktorek wychowania fizycznego, gier i sportów. O zajęcie, zwłaszcza na prowincji, nie jest trudno; instruktorka jednak musi być przygotowana na to, że warunki pracy są nieraz ciężkie.

Dzieje się tak z tego powodu, że społeczeństwo niedostatecznie rozumie ważności wychowania fizycznego; nie rozumieją tego często kierownicy szkół, nie mówiąc już o rodzicach. Instruktorka musi nieraz walczyć o potrzebne przybory sportowe, o kostjumy do gimnastyki i lekkiej atletyki, o możliwość organizowania zawodów i t. d. Wszystko to są rzeczy przejściowe — za lat kilkanaście instruktorki wychowania fizycznego nie będą miały tych trudności; będą za to miały większą konkurencję zawodową i trudniej im będzie znaleźć zajęcie.

Nie należy tylko wyobrażać sobie, że studja w tej dziedzinie, to coś znacznie łatwiejszego, niż inne studja akademickie i że kto nie ma zdolności do pracy naukowej, a zato w szkole dobrze gra w siatkówkę lub skacze—posiada już tem samem odpowiednie kwalifikacje na instruktorkę wychowania fizycznego. Sprawność fizyczna jest wprawdzie warunkiem, wymaganym przy wstąpieniu do szkoły wyższej tego typu, ale nie jedynym. Przyszła instruktorka wychowania fizycznego powinna pamiętać o tem, że do zawodu swego musi zdobyć naukowe podstawy, a więc, że czeka ją praca umysłowa nietylko podczas stu-



djów, ale i później, gdy będzie musiała stale uzupełniać swe wiadomości, aby iść z duchem czasu.

Musi posiadać również odpowiednie zamiłowanie i zdolności pedagogiczne, pamiętając o tem, że nieraz znacznie trudniej będzie jej opanować klasę, niż nauczycielce jakiegokolwiek innego przedmiotu.

Obecnie mamy w Polsce trzy ośrodki, kształcące instruktorów i instruktorki wychowania fizycznego.

1) Państwowy Instytut Wychowania Fizycznego w Warszawie (w przyszłości Centralny I. W. F.) — kurs 2 letni; wymagana odpowiednia sprawność fizyczna, jako cenzus naukowy — matura. Podania należy kierować do M. W. R. i O. P. — Wydział wychowania fizycznego.

2) Studium wychowania fizycznego przy Uniwersytecie Poznańskim — kurs 3-letni, wymagania, jak wyżej; podania kierować do Uniwersytetu.

3) Studium wychowania fizycznego przy Uniwersytecie w Krakowie — kurs 3-letni.

Co się tyczy zawodu pielęgniarek i higienistek, to zapotrzebowanie na siły fachowe w tej dziedzinie jest tak duże, że istniejące szkoły nie zdołają go pokryć prędzej, niż za 5 lat, o ile w dodatku zapotrzebowanie to nie wzrośnie, co zawsze jest możliwe.

Absolwentki szkół pielęgniarskich mają zapewnioną pracę albo w szpitalach, gdzie siostry-zakonnice zastępowane są coraz bardziej przez pielęgniarki świeckie, albo w poradniach, przychodniach dla dzieci i t. p.

W zakresie więc tej jednej specjalności można dobrać sobie zajęcie, odpowiadające zamiłowaniom indywidualnym — albo bardziej zamknięte w zakresie ściśle fachowo pielęgniarskim, albo posiadające charakter pracy społecznej.

Tak jeden, jak i drugi kierunek może dać wiele zadowolenia osobie, pracującej z zamiłowaniem; bez tego zamiłowania jednak zawód pielęgniarki jest nie do pomyslenia, wymaga on bowiem tyle cierpliwości, taktu, pogody ducha, i na tak ciężkie wystawia próby, że tylko prawdziwe ukochanie swej pracy może dać odpowiednią siłę do przebrnięcia przeszkód, jakie w tym zawodzie spotkać można.

Na moralne kwalifikacje pielęgniarki, na wychowanie typu, pod każdym względem odpowiadającego wymaganiom, zwracają nasze szkoły dużą uwagę.

Przyjmowane są kobiety, które ukończyły 20 lat życia, a więc posiadające już pewne wyrobienie życiowe, nie dziewczęta wprost z ławy szkolnej. Następnie we wszystkich szkołach przez czas trwania nauki obowiązkowy jest internat. Kurs nauki dwuletni, wymagany cenzus naukowy 6 klas.

Istnieją w Polsce następujące szkoły:

- 1) Warszawska Szkoła Pielęgniarstwa (Smolna 6).
- 2) Szkoła Pielęgniarek przy szpitalu starozakonnych w Warszawie (Dworska 17).
- 3) Uniwersytecka szkoła pielęgniarek i opiekunek zdrowia — Kraków (Kopernika 23).

5) Wyższa poznańska szkoła pielęgniarek i higienistek — Poznań (Grottgera 5).

5) Szkoła Pielęgniarek przy Polskim Czerwonym Krzyżu — Katowice (Andrzeja 9).

Szkoły pielęgniarskie rozpoczynają kurs dwa razy do roku: na wiosnę i na jesieni.

Szkół dentystycznych mamy dwie, obie wyższe, t. j. wymagające matury, po ukończeniu dające stopień lekarza-dentysty.

Są to: Państwowy Instytut Dentystyczny — Warszawa (Marszałkowska 151) — kurs 4-letni, i Wydział lekarski Uniwersytetu Lwowskiego (Studjum stomatologiczne) — kurs 5-letni.

Istniejąca w Warszawie (przy ul. Chocimskiej 24) Państwowa Szkoła Higieny organizuje, w miarę potrzeby, kursy dopełniające dla lekarzy i personelu sanitarnego.

W jesieni, od 1 października, rozpocznie się kurs, mogący zainteresować nasze czytelniczki. Jest to 9-cio miesięczny kurs dla higienistek-wywiadowczyń.

Od kandydatek wymaga się obywatelstwa polskiego, ukończonych 18 lat, lecz nie przekroczonych 30-tu, dobrego zdrowia, wykształcenia 6-ciu klas szkoły średniej i zobowiązania się do 3-letniej pracy społecznej. Pożądane jest świadectwo z przesłuchanych kursów sanitarnych i odbytej praktyki. Po przyjęciu kandydatki płać 10 zł. wpisowego. Nauka, mieszkanie i utrzymanie bezpłatne.

W Warszawie mieści się również jedyna w Polsce Prywatna szkoła masażu leczniczego d-ra Jana Zaorskiego, z programem zatwierdzonym przez Gen. Dyrekcję Służby Zdrowia.

Przyjmowani są kandydaci i kandydatki posiadający ukończone 4 klasy szkoły średniej, ewentualnie szkołę felczerską lub akuszerską, w wieku od 19 do 40 lat.

Kurs 4-o miesięczny, rozpoczynający się dwa razy do roku: na wiosnę i na jesieni; nauka w godzinach wieczornych. Po ukończeniu kursu egzamin, od którego wyniku zależy świadectwo, uprawniające do samodzielnej praktyki.

Opłata za kurs, wraz z egzaminem, wynosi 305 zł. Kancelarja szkoły mieści się w Warszawie (Smolna 30 m. 2).

W dziale położnictwa mamy trzy Państwowe Szkoły Położnych: w Krakowie, Lwowie i Wilnie, Miejską Szkołę Położnych w Warszawie, Szkołę Położnych przy krajowej klinice dla kobiet w Poznaniu, Szkołę Położnych przy szpitalu powiatowym w Kowlu.

Pozatem istnieje szereg szkół prywatnych w różnych miastach; szkoły te jednak są droższe, a więc nie tak dostępne, jak państwowe lub komunalne, w państwowych bowiem nauka jest bezpłatna, w komunalnych — opłata bardzo niska.

Warunki przyjęcia do szkoły: skończone 18 i nie przekroczone 35 lat życia i ukończona szkoła powszechna. Kurs nauki zasadniczo, w myśl ustawy



o położnych (Nr. 34 Dziennika Ustaw z r. 1928)—dwuletni; w praktyce, w wielu szkołach, narazie jednoroczny. Po ukończeniu szkoły—egzamin, uprawniający do praktyki prywatnej; co 5 lat obowiązkowe miesięczne przeszkolenie. To dodatkowe przeszkolenie jest wyrazem troski państwa o poziom teoretycznego wykształcenia położnych i ułatwienie im zaznajamiania się z najnowszymi postęпами techniki i higieny. Dotąd sprawa zawodowego kształcenia położnych była nieuregulowana, rząd nasz bowiem objął dziedzictwo trzech zaborów, których ustawy w tej dziedzinie przedstawiały bardzo znaczne różnice: w Małopolsce, np. od kandydatki na położną wymagało się tylko umiejętności czytania i pisania.

Nic dziwnego, że reformy nie dadzą się przeprowadzić odrazu i lata upłyną, zanim szkoły i kursa dopełniające zdołają wykształcenie położnych w całym kraju doprowadzić do jednolitego poziomu.

Narazie rząd musi do pewnego stopnia iść na kompromis, nie mogąc pozbawiać praktyki całego szeregu położnych, których nie zdołałby odrazu zastąpić lepiej wyszkolonemi siłami, i nie chcąc zbyt wielkimi trudnościami odstraszać kobiet wiejskich od zawodu, który po należytem przygotowaniu mogą wykonywać z pożytkiem dla ludności, gdyż jako znające lepiej warunki życia wiejskiego, łatwiej dadzą sobie w nich radę. Z drugiej strony stałe podnoszenie poziomu szkolenia i stopniowe, ale coraz większe wymagania muszą wpoić w społeczeństwo przekonanie, że zawód położnej, to nie ucieczka dla rozbitków życiowych i nie najłatwiejsza droga do względnie dobrych zarobków, ale odpowiedzialna i bardzo potrzebna placówka społeczna.

Lwów może się poszczycić jedyną w swoim rodzaju szkołą, zapełniającą ważną lukę w wychowaniu fizycznym najmłodszego pokolenia. Jest to prowadzona pod kierownictwem dyrektora kliniki pediatrycznej Uniwersytetu Jana Kazimierza, prof. dr. Gröera, szkoła zawodowych domowych pielęgniarek dla niemowląt. Szkoła ta znajduje się przy Zakładzie dla niemowląt im. Dzieciątka Jezus (ul. Paulinów 5).

Pielęgniarki, kończące szkołę, są należycie przygotowane do objęcia wychowania dziecka do 1 roku życia całkowicie i odpowiedzialnie. I w tej dziedzinie zapotrzebowanie na siły fachowe jest większe, niż szkoła pokryć może. Pensja pielęgniarki wynosi 120 zł. miesięcznie, prócz utrzymania.

W dziedzinie kosmetyki mamy trzy szkoły: 1) Pierwsze kursy Kosmetyczne dr. M. Biernackiej — (Szopena 16); 2) Szkoła kosmetyczna Klimeckiego — (Niecała 5); 3) Kosmetyczne kursy dr. Zamenhofs — (Senatorska 36).

Wszystkie te szkoły wymagają od wstępujących ukończenia conajmniej 4-ch klas. Kurs jest 4-miesięczny, rozpoczynający się dwa razy do roku: na wiosnę i na jesieni.

Ukończenie szkoły i egzamin dają prawo praktyki i otwarcia gabinetu kosmetycznego.

Pozostaje jeszcze fryzjerstwo i manucure. Fryzjerstwo, jak twierdzą mistrze w tym fachu, mniej nadaje się obecnie dla kobiet, niż dawniej, gdyż kobiety, podobno, mają zdolności do czesania, nie do strzyżenia, a że teraz strzyżenie jest na pierwszym planie, więc fryzjerki nie miałyby powodzenia. Zato manucure zawsze pozostanie fachem ściśle kobiecym. Szkół specjalnych niema; wyuczają fachu w kilkunastu lekcjach różne zakłady, ogłaszające się w każdej niemal gazecie. Później trochę praktyki i cierpliwości, zręczności i stosunków, a można znaleźć zajęcie, choć konkurencja na tem polu jest bardzo duża.

J. Prażmowska.



## GOŁĘBIE

### II

#### CHÓW GOŁĘBI

Hodowla gołębi, prowadzona z małemi wyjątkami ściśle po amatorsku, stoi u nas jeszcze na stosunkowo niskim poziomie.

Gołębia uważamy za ptaka mało wymagającego, zaradnego, takiego, który umie i może się obchodzić bez wydajnej pomocy i opieki ludzkiej.

Opinia ta, aczkolwiek oparta na pewnych słusznych podstawach, zasługuje na krytykę. Hodowca powinien znać potrzeby ptaków i starać się im sprostać. Pierwszym, najważniejszym warunkiem jest bezwarunkowo danie gołębiom odpowiedniego pomieszczenia. Skrzynki, przybijane do ścian domów, gołębniki starego typu, osadzone na wysokim słupie—należą już dzisiaj do przeżytków.

Racjonalne gołębniki powinny być umieszczane na strychach stajen. Taki dobór miejsca zapewni ptactwu dostateczną ilość ciepła w okresie chłodu i mrozów, wpłynie dodatnio na nieśność matek i wychów młodego pokolenia.

Jeżeli, lubując się w dekoracyjności wysokiego, staromodnego gołębnika, nie będziemy chcieli zmienić jego typu, musimy pamiętać o tem, aby umieszczać go zdala od drzew i budynków, a przez to samo utrudnić kotom i innym szkodnikom dostanie się do wnętrza. Słup, należycie wysoki, objemy gładką blachą cynkową, co zabezpieczy też gołębnik od niepożądanych wizyt.

Gołębniki, zakładane na strychach stajen, powinny mieć podłogę glinianą, dobrze ubitą, którą pokrywamy warstwą piasku na 3 cm. grubą, zmieniając go



dosyć często. Ściany i powałę należy bielić 3—4 razy do roku. Jeżeli podłoga i ściany zrobione są z drewna, powinny być gładko wyheblowane i zapokostowane.

Gołębniki drewniane budujemy z podwójnych ścianek, wypełniając próżnię, pozostałą pomiędzy nimi, mchem lub siewką, co utrudni dopływ tak zbyt zimna, jak i upału.

Wyloty w gołębnikach należy umieszczać conajmniej na wysokości jednego metra, licząc od podłogi ku górze; inaczej małe gołębie, o nierozwiniętych lotach, łatwo bywają narażone na niebezpieczeństwo upadku ze znacznej wysokości.

Wielkość gołębnika można normować w ten sposób, aby na pięć par przeznaczać 1 m. kwadratowy powierzchni. Ilość trzymanyh razem gołębi normuje się podług hodowanych ras. Trzymanie większej ilości gołębi ponad 15 par w jednej dużej przegrodzie, lub w jednym gołębniku, nie jest wskazane, powoduje bowiem złośliwe bójki i zagraża bezpieczeństwu hodowanego ptactwa.

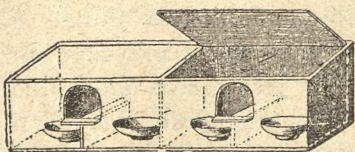
Wysokość gołębnika powinna wahać się około 1,80 m.

Prawidłowem gniazdem gołębi jest podłużna skrzyneczka drewniana, przedzielona pośrodku na dwie równe części. Połówki te dzielimy znów na dwa gniazda, zaopatrzone otworem, umieszczonym na 8 cm. ponad podłogą. Te dwie przegródki przeznaczamy dla jednej pary gołębi, a robimy tak z myślą o chwili, w której samica usiądzie powtórnie na jajach, a młode pokolenie z ostatniego wylęgu, przesiadując we wspólnem, nieprzegrodzonym gnieździe, musiałoby jej z natury rzeczy przeszkadzać. Gniazdo powinno mieć 30 cm. długości i 40 cm. wysokości (rys. 5).

W komorze takiej umieszczamy gładko polerowaną miskę kamienną lub glinianą, wysłaną torfem i słomą. Wstawianie koszy do gniazd nie jest wskazane, albowiem są one idealną wprost wylęgarnią dla wszelkich pasożytów, które w wyżej opisanych gniazdach, słanych na podstawie torfu i słomy, umieszczonych w misce glinianej lub kamiennej, nie zagrażają ptactwu w tak wysokim stopniu.

Gołębice znoszą kilka razy do roku, zależnie od rasy i stopnia płodności, po dwa jaja, które wysiadują naprzemian z samcem. Czas wysiadywania trwa do 18 dni.

Rodzice karmią swe pisklęta w sposób charakterystyczny. Mianowicie: ujmują dziób młodzika dziobem własnym, a przez potrząsanie tułowiem wpro-



rys. 5

wadzają z powrotem do gardła pokarm, zmacerowany uprzednio we własnem wolu. Pokarm ten bywa wybierany dziobkiem i spożywany przez pisklęta. W ten sposób karmią się gołębie w pierwszych dniach swej egzystencji; później jedzą chętnie rozmoczone ziarno.

Gołębie pierzą się raz do roku, a młode po pierwszym wypierzeniu dostają prędko silnych piór.

### III

#### ZYWIENIE GOŁĘBI

Umiejętne żywienie trzymanyh w zamknięciu gołębi, lub dokarmianie wolno-żerujących, to podstawa dobrej hodowli.

Gołąb lubi naogół wszelkie ziarno, jednak nie każde przynosi mu równy pożytek, a są nawet takie, które, zadawane w większych ilościach — szkodzą.

Do tego rodzaju ziarn należy żyto, które działa zbyt rozgrzewająco, powoduje choroby u starych sztuk, a śmierć—u młodych. Również i kukurydza, chętnie spożywana przez gołębie, ma właściwości silnie rozgrzewające i nie należy jej podawać zbyt obficie, a podawaną trzeba mieszać z innym ziarnem. Kukurydza nadaje się doskonale do karmienia gołębi w zimie, gdyż, jak już wyżej wspomniałam, rozgrzewa je—jednak zbyt hojnie dawana, wywołuje zapasienie i ociężałość, powodującą zaniedbywanie młodych.

Podstawową karmą naszych gołębi powinien być jęczmień. Gołębie lubią różnaitość karmy, a organizm ich potrzebuje jej nieodzownie. To też należy dbać o mieszanie ziarn, a nawet rano podawać im kartofle gotowane z ospą pszenną, a wieczorem równe części: jęczmienia, prosa, pszenicy, wyki i soczewicy.

Gołębie, trzymane w zamknięciu, muszą być karmione dwa razy:—rano i przed zachodem słońca; wolno żerującym wystarczy podawać ziarno wieczorem. W okresie wysiadywania i karmienia piskląt—karmi się gołębie trzy razy dziennie. Wolno żerujący gołąb ma możność wyszukania sobie wszelkich składników, nieodzownych do normalnego rozwoju i zdrowia organizmu;—uwięziony w klatce, powinien mieć korytko z wapnem pastewnem, tynkiem, tłuczoną cegłą i żwirem. Dawanie od czasu do czasu świeżej zieloniny, np. sałaty, doskonale wpływa na zdrowotność gołębi.

Ptaki, trzymane na wolności, a szczególnie przebywające w pobliżu jezior, rzek lub stawów, mają okazję nasycenia się wystarczającą ilością świeżej wody; w przeciwnym razie dbamy o to, aby im jej nigdy nie zabrakło i ustawiamy ją w korytkach, uniemożliwiających wchodzenie nogami oraz zanieczyszczanie. Również i karmę podawać należy w specjalnych naczyniach; jeżeli sypimy ją wprost na ziemię, musi ona być doskonale zamieciona, wolna od kału ptasiego; ziarno rozrzucamy tak szeroko, aby całe stado swobodnie spożywać je mogło, nie teroryzując słabszych sztuk.

(d. c. n.)

W. D.



## WSPÓŁCZESNE GOTOWANIE

### I. KONIECZNOŚĆ UMIEJĘTNOŚCI GOTOWANIA DLA KAŻDEJ KOBIETY

Chcę mówić o jednym tylko sposobie gotowania, o tym, który powinniśmy jedynie tylko stosować: o praktycznym, rozumnym, a oszczędnym gotowaniu. Gdyż modne hasło normalizacji pracy domowej, o której się dzisiaj tak dużo pisze i mówi, właściwie można nazwać hasłem oszczędności; oszczędzanie czasu, sił i pieniędzy—osiąganie tego wprowadzeniem systematyczności, ładu i porządku w pracy, podniesieniem jej wydajności, uproszczeniem i ułatwieniem jej.

Wiemy wszyscy, jaką olbrzymią rolę w zdrowym, racjonalnym odżywianiu się odgrywa kuchnia domowa, i chociaż tak chętnie przez nas naśladowana Ameryka głosi dogodność i oszczędność masowego stołowania się — zawsze będę twierdziła, że tylko potrawy, przyrządzone w domu na niedużą ilość osób, są prawdziwie smaczne i zdrowe. Głównie—zdrowe.

Przecież po wojnie światowej, gdy się stosunki tak radykalnie zmieniły i tysiące ludzi, pozbawionych własnego domu, jada w rozmaitych, nieraz nawet bardzo uczciwie prowadzonych pensjonatach i jadłodajniach—każdy tęskni do chociażby najskromniejszej, byle domowej, byle tak, jak on do tego przywykł, przyrządzonej potrawy. I to marzenie nie jest znów tak trudne do ziszczenia tam, gdzie jest kobieta w domu, kobieta, dbająca o dobro i zdrowie swego męża i dzieci; niezależnie od tego, czy rozporządza ona całym mieszkaniem z kuchnią i służbą, czy tylko jednym pokojem i maszynką gazową, naftową, lub spirytusową, powinna ona nauczyć się gotować i gotować w domu. Nie jest to tak trudną sztuką, jak się nieumiejącym zdaje; wszak uczą się jej wcale inteligencją nie grzeszące służące nasze; czemu więc my, w ciągu paru miesięcy, nie mamy posiadać tego, na co one lat kilka czasu zużywają? I nie jest to wcale zajęciem ciężkim i brudnym, bo przy stosowaniu nowych metod i przyrządów gotowanie jest o wiele mniej męczące od każdego sportu i bardziej czyste od wielu innych zajęć, naprzykład chociażby od sprzątanania, prania, ogrodnictwa, a nawet od modnego automobilizmu.

Najgorzej stoi sprawa nauki gotowania. Dużo w tym kierunku zrobiono dla wychowanek szkół powszechnych. Nie wiem, jak ta sprawa przedstawia się na prowincji, lecz w Warszawie jest już kilka szkół gospodarczych, w których uczennice dwóch najstarszych oddziałów szkół powszechnych otrzymują gruntowną naukę prac domowych: prania, sprzątanania, szycia i reperacji bielizny, oraz gotowania. To ostatnie jest wykładane nadzwyczaj praktycznie i gruntownie, o czym miałam sposobność przekonać się, oglądając taką szkołę. Zapewne z czasem wszystkie szkoły powszech-

ne otrzymają możność posyłania swoich wychowanek na takie kursy uzupełniające i następne pokolenie gospodyń w klasie rzemieślniczej będzie posiadać gruntowną naukę gospodarstwa.

Gorzej, niestety, a raczej zupełnie źle stoi ta sprawa u tak zwanej inteligencji—a nie należy zapominać, że ta inteligencja zarabia przeważnie mniej od pracowników fizycznych. Za wyjątkiem jednej szkoły kucharskiej pani Marty Norkowskiej, zasłużonej, wieoletniej wychowawczynie całych pokoleń, nie mamy w Warszawie szkół kucharskich, gdzieby panna z klasy średniej mogła się nauczyć gotować. Jedna szkoła—to jest prawie nic. Wiem, że w dużych miastach na prowincji: w Krakowie, a szczególnie w Poznaniu i we Lwowie są doskonale prowadzone szkoły gospodarcze; lecz właśnie to, że o nich się wie, że je niemal na palcach wyliczyć można, dowodzi, że jest ich za mało. Powinno ich być tyle, ile jest miast i miasteczek, a właściwie, ile jest żeńskich średnich zakładów naukowych.

Mówi się dużo o przeładowaniu programów — przeładowaniu przedmiotami, oczywiście, teoretycznymi; czyżby rzeczywiście nie znalazło się w dwóch ostatnich klasach jakich trzech godzin tygodniowo na czysto praktyczne zajęcia gospodarcze, chociażby się to miało stać kosztem któregoś z tych przedmiotów, których praktycznie w życiu nigdy nie stosujemy, lub też w formie lekcji dodatkowych? Takie zajęcia czysto praktyczne nietylko nie obciążałyby umysłu, lecz byłyby miłym odpoczynkiem w rodzaju ćwiczeń gimnastycznych. Niezależnie od szkół średnich powinnyby powstać w każdym mieście wieczorne kursy gotowania dla pań, pracujących zawodowo, nie mających czasu na naukę kucharstwa w szkołach specjalnych, gdzie zajęcia są zwykle w godzinach rannych. Zanim by dorosło nowe pokolenie gospodyń, już ze szkoły średniej wynoszące gruntowną znajomość czynności gospodarczych, szkoły te mogłyby liczyć na olbrzymie powodzenie. Nie potrzebowałyby one być połączone z jadłodajniami, jak szkoły obecnego typu, lecz mogłyby być urządzone na wzór szkół czeskich, gdzie uczennice, spożywając ugotowane przez siebie obiady—mówię dzisiaj specjalnie o gotowaniu, więc nie będę uwzględniać innych działów gospodarstwa — opłacają główne koszta produktów i opału; czesne za naukę, lokal i narzędzia do nauki mogłoby być przytem bardzo niskie, gdyż w jednym lokalu i przy jednym personelu nauczycielskim mogłoby się uczyć kilka, lub kilkanaście grup kolejno w różnych godzinach dnia i dniach tygodnia.

Każda kobieta powinna umieć ugotować obiad, tak jak każda umie sobie przyszyć guzik, lub zacerować pończochy. Jeśli sama nie będzie potrzebowała tego robić—bo jeszcze braku służby, tak powszechnego na Zachodzie, dzięki Bogu, nie odczuwamy—to będzie mogła nauczyć tego swoją służącą.



Powszechnem jest u nas narzekanie na nieumiejętność służby. Lecz mało kto się zastanawia nad tem, skąd ta nieumiejętność pochodzi. Przed wojną prawie w każdym średnio zamożnym domu były dwie, lub trzy służące. Młodsza, lub pomywaczka, przyglądając się pracy kucharki, pomagając jej, lub wyręczając czasem, przejmowała jej metody i z czasem sama awansowała na jej miejsce. A kuchnia polska zawsze była wyborna. Kucharki-polki wyjeżdżały do Rosji, gdzie zarobki były znacznie wyższe, i ogromnie tam były poszukiwane i cenione. Po wojnie stosunki radykalnie się zmieniły. W domu zamożnym można zaledwie zdobyć się na jedną służącą; tam gdzie była dawniej jedna, przychodzi posługaczka na kilka godzin, a często sama pani wykonywa wszystkie prace, biorąc sobie pomocnicę wtedy tylko, gdy jest duże sprzątanie, lub pranie. I służące nie mają się gdzie nauczyć, bo same panie niewiele, lub nic nie umieją.

O smutnym stanie wiadomości kulinarnych naszej służby mam możność przekonać się co roku, asystując od paru lat przy egzaminie kucharek w gazowni warszawskiej. Służące, uczęszczające na kurs gotowania na gazie, pochodzą przeważnie z domów, gdzie się dba o dobre jedzenie, a jednak pomiędzy takimi, które rzeczywiście wybornie gotują i mają duży repertuar dań, trafiają się takie, które nigdy żadnej leguminy nie robiły, lub które przez kilkanaście lat służby codziennie tylko kompot gotowały. Mamy, oczywiście, w Warszawie i w innych miastach szkoły kucharskie dla służby. Nie każda jednak służąca do takiej szkoły uczęszcza i nie każda do niej uczęszczać chce i może. Wszystkie te szkoły mają jedną wspólną wadę: są połączone z jadłodajniami. Uczennica odrazu przywyka do gotowania w dużych ilościach i, jako przeważnie mało inteligentna, nie umie swej umiejętności przystosować do małych ilości. Oprócz tego, ponieważ szkół takich jest mało, te, które je ukończyły, mają bardzo przesadne pojęcie o swoich uzdolnieniach i, co zatem idzie, o swojej wartości. Każda gospodyni, która miała zarozumiałą kucharkę, zrozumie mnie. Niema gorszego materiału na dobrą kucharkę, niż zła kucharka, wyobrażająca sobie, że umie gotować. Jeżeli więc chcemy móc sobie wychować serję dobrych kucharek, powinniśmy przede wszystkim nauczyć się gotować same, a przekonamy się, że nasze służące chętnie się będą od nas uczyły.

W Niemczech, skąd niejeden dobry przykład wziąć możemy, specjalnie dobrze uzdolnione gospodynie, mające odpowiednie zaświadczenie od stowarzyszeń, do których należą, biorą do siebie bezpłatnie, za utrzymanie tylko, młode dziewczęta, wprost przybyłe ze wsi, uczą je pierwszych zasad prac domowych, a przede wszystkim—gotowania. Po kilku miesiącach takiej praktyki—dłuższej, lub krótszej, zależnie od zdolności osobistych praktykantki, otrzymuje

ona świadectwo od swej wychowawczynie; świadectwo to zaś daje jej możność i nawet pewność otrzymania dobrze płatnej posady.

Jest to dobre rozstrzygnięcie kwestji szkolenia służby domowej: za swoją pracę przy nauczaniu gospodyni praktyczna i umiejętna ma bezpłatną pomoc w domu. O takim sposobie wychowywania służby była już kilka razy mowa na posiedzeniach „Koła Studjów Gospodarstwa Domowego“, pierwszego związku kobiet, założonego przed paru laty w celu praktycznego stosowania do życia naukowej normalizacji pracy domowej. Czy się to da wprowadzić w życie u nas—trudno powiedzieć. W każdym razie praca gospodyń około wychowania służącej będzie ciężka, i nie wiem, czy te kilkadziesiąt złotych pensji miesięcznej, zaoszczędzonej, ją opłaci. Utrzymanie, kilkakrotnie przewyższające wartość pensji, będzie wychowanka otrzymywała, a szkody, które taka pupilka przez swą nieumiejętność codziennie wyrządzi, będą wprost nieobliczalne.

Zanim wychowamy sobie dobre pomocnice, a w tym celu wpieryw same nauczymy się praktycznie gotować—zobaczmy teraz, jakie warunki do pracy kuchennej w obecnej chwili posiadamy i jak je najlepiej wykorzystać możemy.

Pani Elżbieta.



### ZRAZY W SOSIE OGÓRKOWYM

Pół kilo mięsa—po połowie wołowiny i wieprzowiny, lub też wołowiny z dodatkiem kawałka świeżej słoniny — przepuścić przez maszynkę dwa razy. Za drugim razem przekręcić także sporą cebulę i dwie wymoczone bułeczki-warszawianki. Wbić w to jedno jajko, osolić, popieprzyć, wyrobić mięso, aby od rąk odstawało. Rozdzielić tę masę na osiem równych części. Ukrajać osiem pasków wędzonej słoninki, lub przerastałej szynki (jedna i druga mogą być gotowane), paski długości i grubości palca. Każdy pasek zawiązać siekanem mięsem, formując zgrabne, podłużne zraziki. Utarzać je w mące i zrumienić dobrze ze wszystkich stron na maśle lub smalcu. Dwa duże ogórki kwaszone (latem mogą być świeżo solone) obrać, pokrajać w plasterki lub w kostkę. W rondelku lub nelsonce, które można podać do stołu—rozpuścić niedużą łyżkę masła, na nie ułożyć zrumienione zrazy, pokrajane ogórki, podlać rosółem lub, w braku rosółu, śmietaną kwaśną po połowie z wodą, aby dobrze objęło, przykryć pokrywą i dusić, często potrząsając rondlem, na bardzo wolnym ogniu około pół godziny. Gdyby sos był za rzadki, przyprószyć mąką i raz zagotować. Podawać w tem samem naczyniu. Do tego—odgotowany makaron z masłem, sypka kaszka krakowska, lub kartofle z wody.



## ZRAZY Z WIEPRZOWINY

Trzy ćwierci kilo chudej wieprzowiny od szynki lub łopatki rozkrajac na pięć płaskich zrazów i zbić mocno. Ukrajać tyleż cieniuchnych plasterków wędzonej słoniny (około 15 deka) — może to być słonina od gotowanej szynki. Zrazy przykryć słoninką, posypać obficie zielonym, siekanym koperkiem, zwinąć w rolkę, związać nitką, osolić po wierzchu (wewnątrz mają dosyć soli ze słoninki). Zrumienić ze wszystkich stron na maśle, patelnię przykryć miską, postawić na skraju blachy na minut piętnaście, aby zrazy wewnątrz dobrze doszły. Podawać z młodemi kartofelkami, w zimie z kartofelkami purée. Są nadzwyczaj smaczne. Kto lubi dłuższy sos, może już po przełożeniu zrazów na półmisek dodać do masła, w którym się smażyły, łyżkę śmietany i pół szklanki wody, raz zagotować i połać koło zrazów — a nie na zrazy.

## MŁODE KARTOFLE ZE ŚLEDZIEM

Młode kartofle, oskrobane starannie, zagotować w wodzie, dodając pęczek koperku i zielonej pietruszki, lecz nie soląc wody. Na kilo kartofli wziąć jednego, niedużego śledzia-ulika, wymoczyć — nie za nadto jednak — oczyścić z ości, odrzucić głowę i ogon, pokrajać drobno wraz ze skórą. Dwie młode cebule posiekać drobno, zasmażyć w łyżce masła, dodać śledzia, smażyć wolno, wciąż mieszając, aż masa się stanie gładka; dodać dwie łyżki kwaśnej śmietany, pół szklanki wody, zagotować raz tylko. Kartofle odcedzone przełożyć do ogniotrwałej salaterki lub nelsonki, zalać śledziowym sosem, posypać zielonym siekanym koperkiem; wstawić na minut piętnaście do niezbyt gorącego pieca, lub trzymać na brzegu blachy przykryte pokrywką, aby nie wyschły za nadto. Przed podaniem przetrząsnąć mocno, żeby te, co były na spodzie naczynia, znalazły się na wierzchu. Podawać w tem samem naczyniu.

## POMIDORY NADZIEWANE MIĘSEM

Duże pomidory obmyć starannie, osuszyć ściereczką, pościnać im wierzchy, wydrążyć łyżeczką ziarnka i miąższ — które się nie zmarnują, gdyż można je użyć na zupę lub sos. Na sześć dużych pomidorów usiekać ćwierć kilo pozostałego pieczonego lub gotowanego mięsa: wołowiny, cielęciny, baraniny lub wieprzowiny. Dobrze usiekaną cebulę zasmażyć w łyżce masła, włożyć w to usiekane mięso, zasmażyć raz, posypać łyżką mąki, połać szklanką rosołu lub wody, zagotować razem, uważając, aby farsz nie był za suchy, posolić do smaku, lekko popieprzyć. Gdy ten farsz nieco przestygnie, napełnić nim pomidory, spiąć drewnianymi patyczkami, lub związać na krzyż nitką. Rozpuścić łyżkę masła, włożyć na nie pomidory, podlać paru łyżkami rosołu lub wody, dusić dwadzieścia minut na wolnym ogniu. Przełożyć na półmisek, odjąć nitki lub patyczki. Naokoło obłożyć ugotowanym na sypko ryżem. Do rondelka wsypać trochę mąki, wlać pół szklanki śmietany i tyleż wody, zagotować raz i połać tym sosem ryż. Można też takie pomidory podać zamiast pasztecików do zupy; w takim razie sos i ryż są niepotrzebne, a sosik, uformowany przy duszeniu pomidorów, dodaje się do zupy.

## ŁATWY TORCIK MORELOWY

Zagnieść kruche ciasto z ćwierć kilo mąki, piętnastu deka cukru, piętnastu deka masła i troszki śmietany. Uformować z tego okrągły placek i upiec, aż się dobrze zrumieni. Dwie szklanki mleka zagotować z dwiema łyżkami cukru, paczką proszku budyniowego „Luba“ (waniljowego), rozprowadzić paru łyżkami mleka, wlać do reszty, zagotować, masą tą pokryć grubo kruchy placek. Sześć do dziesięciu (zależnie od wielkości) moreli przekrajać na połówki, ułożyć skórka na wierzch na niezastygłą jeszcze masę, wciskając w nią nieco. Po zupełnem zastygnięciu posypać cukrem, utłuczonym z wanilią i podawać. Chcąc, aby torcik wyszedł ładnie, piec go i polewać kremową masą w tortownicy, aby brzegi wyszły równe i gładkie.

## „Jak kupuje dobra gospodyni“

NAUKA PRAKTYCZNEGO I RACJONALNEGO  
ROBIENIA ZAKUPÓW

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.  
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM  
HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretka na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perekłki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyła za zaliczeniem.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Adm. nistracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.  
Druk. Zakł. Graf. Tew. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.